PAŹDZIERNIK 1933

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM XXXIII

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

T R E Ś Ć:



OBRAZ KRÓLOWEJ JADWIGI, MALOWANY PRZEZ JEDNEGO Z O. O. PAULINÓW DLA UROCZYSTOŚCI JASNOGÓRSKICH, ODFOTOGRAFOWANY TU W JEDNEJ Z SAL KLASZTORU W OTOCZENIU FOLJANTÓW Z TYSIĄCZNEMI PETYCJAMI ZRZESZEŃ KATOLICKICH DO PAPIEŻA O KANONIZACJĘ KRÓLOWEJ.

POLSKA U STÓP JASNEJ GÓRY.

SPISAŁ NAOCZNY ŚWIADEK.

Byłem, widziałem...

Widziałem stutysięczne przeszło tłumy ze wszystkich stron kraju, falujące, jak morze, dokoła wałów jasnogórskich, przed wspaniałą wizją piętrzącego się wysoko ołtarza, na którym, pod olbrzymią, daleko widoczną kopją cudownego obrazu Bogarodzicy, błyszczał i mienił się kolorami zdobiących go wstęg natchniony obraz Królowej Jadwigi. Słyszałem grzmot głosów ludu, wołającego z mocą wiary o uznanie tej Królowej za świętą. Widziałem i czułem wszechpotężny prąd ekstazy, z głębi przekonania płynący, który porywał tłumy i porwaćby musiał chyba i zabłąkanego wśród nich sceptyka. Widziałem cały Episkopat polski, z obu Kardynałami na czele, jako jedną wstęgę purpury i fioletów dokoła wielkiego, zewnętrznego ołtarza, udzielający zgodnym ruchem błogosławieństwa zgromadzonym tłumom, błogosławieństwa im i całej akcji wyniesienia świętobliwej Królowej na ołtarze świętych.

Widziałem i cud — nie cud wprawdzie w zwykłem tego pojęcia znaczeniu, bo o taki cud w tym pamiętnym dniu szczególnie nie błagano, ale inny, bardziej ogólny i bardziej symboliczny: cud zgody narodowej, w podniosłym skoordynowanej celu. Widziałem, oczom własnym ledwie wierząc, ozdobnym rysunkiem obramowane petycje do Stolicy św., składane do rąk Episkopatu, a podpisane zgodnie przez związki strzeleckie i organizacje obozu narodowego. Tego Polska dotąd jeszcze nie widziała!..

A przecież historyczna ta uroczystość, tak przedziwnie odbijająca na tle zmaterjalizowanego XX-go wieku, nie by-

ła przygotowana żadną taką rozgłośną reklamą, jak to się dzieje przy innych, masowych obchodach, mających cel i charakter ogólno-narodowy. O ileż potężniejszą była reklama przez długi szereg tygodni na rzecz przypadających mniej więcej w tym samym czasie rocznic Batorego, a zwłaszcza odsieczy Wiednia. Jakież porywające, ozdobione przeróżnymi wizerunkami artykuły zamieszczała cała prasa polska, nie mówiąc o zagranicznej, w przygotowaniu tych obchodów! A tu nic podobnego! Odezwała się z wiosną skromnie inicjatywa prywatna, ujął rzecz w rękę Episkopat polski mocnem postanowieniem, ale nie sugerując bynajmniej głośnej propagandy, podjęli na miejscu wielki, ale wdzięczny ciężar inicjatywy i organizacji obchodu niestrudzeni Ojcowie Paulini, poparła sprawę z całem oddaniem się Katolicka Agencja Prasowa, zakrzątała się żywo w swych organizacjach Akcja Katolicka — ale to wszystko odbyło się cicho, niemal w ostatniej chwili i zdawało się, że zostanie przygłuszone fanfarą innych obchodów. I to tembardziej, że prasa polska — z nielicznymi chlubnymi wyjątkami — lekko tylko i jak gdyby ubocznie potraktowała wzmianki o jasnogórskiem obchodzie. Nie doceniła widocznie znaczenia tej całej akcji, a wielu może — nie chciało docenić. Wielu, wychowanych w partyjnych kategorjach myślenia i w różnych zarozumialczych partykularyzmach dzielnicowych, nie wyobrażało sobie nawet, że może być cel i akcja w kraju, która wszystkie, nawet skrajnie przeciwne sobie czynniki i żywioły zdoła złączyć w zgodnem dążeniu.

A jednak uroczystość jasnogórska, poprzedzona — jak wiadomo — w ciągu bieżącego roku większymi obchodami w Krakowie, Warszawie i Wilnie, a mniejszymi i w innych stronach kraju, wypadła wspaniale — ponad wszelkie spodziewanie biorącego w niej udział obserwatora.

Było to 24-go września, w ostatni dzień rekolekcji i konferencji całego polskiego Episkopatu, który zebrał się

w tych celach na Jasnej Górze. Nie brakło też kilku Biskupów obrządku grecko-katolickiego.

Już na dzień przedtem ruch ogromny widać było w mieście. Specjalne pociągi wysadzają na peron tysiączne tłumy, przybywające ze wszystkich stron państwa i delegacje zrzeszeń, na gruncie katolickim stojących. Sama stolica kraju wysłała kilkanaście tysięcy osób, sześć tysięcy diecezja Płocka, dwa tysiące Katowice — innych cyfr oczywiście już nie pamiętam. Wszystko to płynie w zwartych szeregach, przy dźwiękach orkiestr i pieśni i łopocie niesionych chorągwi, do stóp Jasnej Góry, przybranej w papieskie i narodowe sztandary, wśród których na tle pogodnego, wieczornego nieba błyszczy daleko wspaniałą iluminacją ołtarz „szczytowy“, dominujący wysoko, ponad murami, nad całem miastem. Tłumy, które już kwater w mieście znaleźć nie mogły, rozkładają się obozem na olbrzymiem przedpolu klasztoru. Rozlegają się potężne chóry, olbrzymia procesja, lśniąca setkami świateł pochodni, obchodzi starożytne wały, jak ongiś przed szturmami Szwedów.

O północy rozpoczyna się nieprzerwany ciąg Mszy św. Prymarję odprawia jeden z Biskupów grecko-katolickich, potem głębokie szeregi młodzieży, rankiem pod murami sformowane, wysłuchują urządzonego dla nich specjalnie nabożeństwa z pięknem kazaniem ks. Biskupa Adamskiego, który wzywa do modłów o kanonizację Królowej Jadwigi. Rozlega się wielu tysiącami głosów hymn „Serdeczna Matko“ wśród powszechnego uniesienia i gdzieniegdzie prawdziwie serdecznego szlochania. Kieruje pieśnią z wysoka, ze szczytu wielopiętrowych stopni ołtarza, ks. Paulin w białym habicie. Pogoda, jak wyśniona — słońce rozdarło zwycięsko zasłonę chmur dni poprzednich, migocąc w krzyżach i włóczniach tysiącznych sztandarów ze wszystkich stron Polski, które gęstym lasem łopocą teraz na wałach. Coraz gęstsze tłumy zalegają przedpole klasz-

torne, tłocząc się w przyległych parkowych skwerach i alejach.

A potem — potem nastaje chwila niezwykła, wyczarowana, w której odczuwa się wcielenie wiary i historji narodu, o której marzyły i o którą raz po raz zabiegały nadaremno szeregi naszych pokoleń!

Brzmi dźwięk dzwonów, wstępują na trybuny przed ołtarzem Biskupi we fioletach—około czterdziestu. Z dwóch stron obrazu Królowej Jadwigi umieszczono fotele dla obu Kardynałów. Ks. Kardynał Kakowski zajmuje na jednym miejsce, a Prymas Polski rozpoczyna Mszę pontyfikalną. Odpowiada na przemiany wspaniały chór duchowny, to znów z głębi tłumów biją w górę pieśni. Jakieś niezwykłe w życiu codziennem uniesienie porywa wszystkich, wznosząc oczy i serca tam, gdzie króluje obraz Najświętszej Panny, a pod nim, w słonecznym blasku, postać Królowej Jadwigi, występująca z ram swego obrazu po raz pierwszy dla odebrania uroczystego hołdu i czci od polskiego narodu.

I zdało mi się w tej chwili, że istotnie wychodzi z ram tego obrazu, z berłem w dłoni, drugą ręką na piersiach, ze wzrokiem, skierowanym w Niebo, jak gdyby chciała znowu stanąć na czele narodu i państwa... Znikły z duszy bez śladu na tę chwilę wszelkie troski codzienne, wszelkie przyziemne ambicje i uczucia różnic politycznych czy społecznych. W tej królewskiej postaci Jadwigi, kroczącej już jakby w aureoli świętości, ujawniła się przeszłość i przyszłość Polski, jej misja, jej głęboka racja stanu i bytu. Jakżeż marnem i drobnem z tego poziomu wydało się to wszystko, co człowieka w życiu codziennem absorbuje, gnębi lub podnieca!

Jakieś dziecko obok mnie, przemęczone długiem staniem, rozpiera nieco swe otoczenie, aby usiąść na ziemi. Matka pochyla się, szepcąc mu parę słów wytrwania.

— Ach, proszę tylko nie przeszkadzać — odzywają się głosy w zachwyceniu — to takie śliczne, cudowne!

Wstępuje na ambonę ks. Biskup Lisowski z Tarnowa. Pięknym, doniosłym głosem podnosi fakt zebrania się tak licznych rzesz z całego kraju dla uczczenia w pierwszym rzędzie tak umiłowanej przez naród polski Matki Najświętszej, ale w tym dniu specjalnie także i dla uproszenia wielkiej łaski, aby świętobliwa Królowa Jadwiga zaliczoną została w poczet świętych. Dlaczego sprawa ta jest tak szczególnie ważną? Dlaczego dzisiaj już i politycy i mężowie stanu czują jej ważność i potrzebę? Bo zdają sobie sprawę, że skrajny dzisiejszy materjalizm zbyt widocznie już odwodzi ludzi od Boga i zapędza państwa do upadku moralnego i materjalnego. Widzą wszyscy, widzą coraz wyraźniej i oni, że odrodzenie z tego upadku może nastąpić tylko w imię idei nadprzyrodzonej, w imię tych ideałów, jakich przykład pozostawiła nam Królowa Jadwiga. Była to chrześcijańska monarchini w całem tego słowa znaczeniu i ideał państwa chrześcijańskiego miała zawsze przed sobą. Jej miłosierdzie, jednająca ludzi i państwa sprawiedliwość, Jej ból i ofiara, zbudowały trwałe węzły i fundamenty Polski mocarstwowej, tak silne, że ta Polska nawet w czasie największego upadku i niewoli nie zginęła i żyła z wiarą w swe zmartwychwstanie, której wyrazem jest nasza pieśń narodowa. Wielką jest postać Jadwigi nietylko jako monarchini, w sprawach świeckich, ale i w przykładzie moralnym, jaki nam dała całem swem życiem świętobliwem. Bóg, coraz wyżej Ją prowadząc, żądał od Niej ciągłej ofiary, ze szczęścia własnego, potem z czci, na którą niegodną potwarz wrogowie rzucili, potem z życia tak oczekiwanego dziecięcia, wreszcie z życia własnego. Te właśnie ofiary, heroicznie poniesione, opromieniają szczególnie świętobliwą postać Królowej i one to wzmocniły tak silnie moralne, a za nimi i widome fundamenty naszego państwa. One też dają nam podstawę do nadziei, że Stolica

św. zgodzi się na kanonizację Królowej, której przykład i orędownictwo niech poprowadzi nas ku lepszej przyszłości, wzmocnionej jednością i zgodą całego narodu.

Po skończonem nabożeństwie ks. Kardynał Hlond zajął miejsce w stojącym obok obrazu Królowej drugim fotelu i nadszedł moment, w którym wydawca „Naszej Przyszłości", jako przewodniczący świeckiego zespołu osób, z których grona wyszła pierwsza inicjatywa podjęcia akcji kanonizacyjnej, miał spełnić powierzony mu zaszczytny mandat przemówienia z wałów klasztornych do tłumów, a następnie do Episkopatu z wyrażeniem prośby w imieniu narodu. Z powodu chwilowej, nagłej niedyspozycji, zastąpił go jeden z wybitnych uczestników wymienionego grona, p. redaktor Józef Czarnecki, który przemówił w następujących słowach:

„Eminencje! Ekscelencje! — i ty, ludu polski! W zastępstwie d-ra Jana Bobrzyńskiego, przewodniczącego Komitetu szerzenia kultu Królowej Jadwigi, mam zaszczyt zabrać tu głos, jako przedstawiciel wasz, przedstawiciel tych wielotysięcznych rzesz.

„Zgromadziła je tutaj sprawa wielka i znakomita, ogromnie droga sercu całego polskiego narodu. Przyszliśmy tutaj z prośbą błagalną do stóp naszych Najdostojniejszych Arcypasterzy, aby przedłożyć nasze gorące życzenie i pragnienie ujrzenia Królowej Jadwigi w gronie świętych Pańskich. Bóg miłościwie opromienił ten dzień dzisiejszy słońcem, jak ongiś, lat 550 temu, dzień Jej wjazdu do Krakowa. To słońce, słońce pomyślności towarzyszyło stale Jej krótkiemu, a jakże błogosławionemu w szczytne owoce ducha życiu i panowaniu. I to słońce powodzenia rozkwitało tem żywiej i wspanialej nad naszą Ojczyzną, im bardziej nieraz łzawe było życie Królowej. Ta, która się litowała łzom ludzkim, wiele łez przelała. Lecz nie były one bezpłodne, bo nietylko uszlachetniały Ją, ale co więcej, jak perły zapadły głęboko w dusze tysięcy ludu litewskiego

i wykwitały w nich wiarą Chrystusową, której godła poniosła aż do krańców ówczesnej Europy. Z posiewu jej ofiar, samozaparcia się, tysiącznych wyrzeczeń, których pełne było życie Królowej Jadwigi, rosnąć poczęła chwała Kościoła i rozszerzać się wiara. Z takiemi wielkiemi sprawami związane imię Jadwigi przetrwało wieki całe, by dzisiaj oto zabłysnąć nad naszemi głowami światłem nowego kultu. Żywa pamięć zasług Królowej Jadwigi sprawia, że cały naród pragnie ją mieć policzoną wśród Świętych Patronów. Te zgromadzone rzesze chylą się przed Wami, Dostojni Arcypasterze, z prośbą, płynącą z głębi serc, pełnych wiary żywej.

„Ludu polski, wy wszyscy, tu zgromadzeni — czy chcecie, aby Królowa Jadwiga została ogłoszoną świętą? Odpowiedźcie wołaniem wielkiem!

(Zewsząd z tłumu jeden grzmot okrzyków: Chcemy, chcemy!).

„Oto głos ludu! Niechaj uderzy on w Niebo i spłynie przed Tron Boga, niechaj tysiącznem echem odbije się o mury tej świątyni. Wśród echa tych okrzyków klękam przed Wami, Najdostojniejsi Arcypasterze i proszę: Raczcie przedstawić gorące pragnienie tych rzesz polskich u stopni tronu Ojca św., raczcie zaświadczyć o wielkiem oddaniu narodu polskiego dla tej sprawy!

„O Panno Jasnogórska, Królowo Korony Polskiej, spraw, aby stało się zadość naszym najgorętszym życzeniom, aby za Najwyższem zrządzeniem Opatrzności Królowa Jadwiga, ta prawdziwa Apostołka Wiary, jak najrychlej została wywyższona na ołtarze świętych!“

Książę Arcybiskup krakowski, Adam ks. Sapieha, jako Arcypasterz miejsca, w którem żyła i panowała Jadwiga i Stróż Jej grobu, występując więc w charakterze promotora sprawy kanonizacji ze strony Episkopatu polskiego, zajął w tej chwili miejsce obok ks. Prymasa Hlonda, poczem delegacje zrzeszeń katolickich z całego kraju, wzywane ko-

lejno przez ks. Dyrektora miejscowego Instytutu Akcji Katolickiej, wstępowały na podjum i klękając przed Kardynałami, składały do rąk Arcybiskupa krakowskiego petycje do Ojca św. na artystycznie zdobnych arkuszach. Gdy minęła ostatnia, ks. Arcybiskup powstał i przemówił w następujących słowach:

„Jako biskup krakowski, pod którego strażą spoczywają, w katedrze wawelskiej, czcigodne szczątki Królowej Jadwigi, z serdeczną radością przyjąłem wasze prośby, złożone imieniem całej Polski, o policzenie jej w poczet świętych. Będzie mojem staraniem, by przygotować wszystko, co należy do przedłożenia ich Ojcu św. dla uproszenia jego najwyższego wyroku. Mogę również zapewnić, że tu zgromadzony Episkopat polski łączy się z nami i będzie gorąco popierał nasze usiłowania. Wiele jednak jeszcze pracy i zabiegów potrzeba, by Stolica św. mogła przychylić się do naszych pragnień i dla tego całe społeczeństwo polskie winno modłami i współpracą stanąć przy nas i pomagać nam.

Tak przepiękne cnoty chrześcijańskie, jakiemi jaśniało życie naszej Królowej, jej dzieła wiekopomne, ku chwale Bożej i dobru ludzkości podjęte, napełniają nas otuchą w powodzenie tej sprawy. Wyniesienie Królowej Jadwigi na ołtarze nie tylko będzie aktem zasłużonym i jej się należącym, lecz będzie także wyrazem wdzięczności za jej dobroczynne dzieła, z których wielu jeszcze dziś korzystamy i oddaniem jej sprawiedliwości za to wszystko, co wycierpiała przez niegodne oszczerstwa, na nią miotane. Wyrok taki Stolicy św. będzie miał jeszcze szersze znaczenie, bo nietylko naród polski szczycić się nim będzie, ale cała ludzkość winna w nim znaleźć naukę i gorąco się radować.

Oto żyjemy w chwili, gdy egoizm narodowościowy dochodzi do najwyższego napięcia. Państwa i narody całego świata stoją naprzeciw sobie, jako zapamiętali wrogowie. Mimo strasznej wojny światowej, której krwawe żniwo śmierci i zniszczenia do dziś boleśnie odczuwamy, pań-

stwa wszystkie zbroją się i wynajdują co raz to gwałtowniejsze sposoby niszczenia i mordowania, a nawet, kiedy nie odważają się zbrojnie wystąpić, szkodzą sobie nawzajem wszlkimi sposobami. Wśród tego widzimy narody, oszołomione nacjonalizmem, depcące wszelkie prawa boskie i ludzkie, byle podniecać nienawiść wzajemną, służyć urojonym wymogom własnym.

Temu zwyrodnieniu ludzkości przeciwstawiamy naszą Królowę i jej dzieło życia. Ileż to razy widzimy, jak Królowa Jadwiga wszelkich starań dokłada i to nie raz bardzo przemyślnych, by pokój z sąsiadami państwa zachować, zażegnać wojnę, lub przynajmniej zmniejszyć jej rozmiary. Tak niespotykany fakt pokojowego i braterskiego złączenia dwóch narodów, Polski z Litwą, który przetrwał wieki, jest jej zasługą, a tem wspanialej wieńczy pokojową Królowej pracę.

Podejmując starania o ogłoszenie jej świętości, pragniemy, by Kościół aureolą niebieską zatwierdził jej dzieło pokoju, chcemy zaprotestować przeciw dzisiejszemu nadużyciu miłości narodu swego, podnieść sztandar braterstwa ludów. W sercu Królowej Jadwigi odnajdujemy wielką ideę średniowiecza, chrześcijańskiego pokoju Chrystusowego w Królestwie Bożem i pragniemy ją przyswoić naszemu pokoleniu. Spotykamy się w tem dążeniu z hasłem, jakie nadał swym rządom dzisiejszy Papież i to jest nowym zadatkiem dla naszej prośby, iż znajdziemy przychylne przyjęcie.

Zgromadzeni u stóp tronu jasnogórskiego Najśw. Panny, Jej sercu składamy pragnienia nasze. Wierzymy, że Królowa Jadwiga znajduje się w Jej niebieskiem orszaku, a ufamy, że składając nasze prośby na Jej ręce, tem łatwiej uzyskamy łaskę ujrzenia naszej Królowej i tu na ziemi w liczbie naszych świętych patronów".

Gdy skończył — powstał z miejsca Prymas Polski, a za nim wszyscy Biskupi i równoczesnym ruchem ręki

kreślą nad pochylonem morzem głów znak Krzyża św., wymawiając jednym głosem słowa błogosławieństwa.

Tłumy zaczęły się zwolna rozpływać, unosząc w sercach i umysłach głęboko wyryty obraz i wspomnienie tych chwil wspaniałych, których doniosłość religijną i historyczną każdy odczuł głęboko.

* * *

Wieczorem dnia tego znowu tłumy wypełniły szczelnie jedną z największych sal, jakie wybrać można było w mieście dla uroczystej akademii. Na estradzie umieszczono wśród wstęg biało-amarantowych i zieleni obraz Królowej, przeniesiony na tę chwilę z klasztoru. W pierwszym rzędzie zasiedli: J. Em. Ks. Kard. Hlond i ci z księży Biskupów, których specjalnie pilne sprawy nie zmusiły do wcześniejszego w tym dniu wyjazdu.

Akademję zagaił szambelan Leon Wasilewski, prezes Instytutu Akcji Katolickiej djecezji częstochowskiej, witając obecnych i podnosząc w krótkich, pięknych słowach znaczenie tego uroczystego zebrania, poczem prof. Oskar Halecki i dr. Jan Bobrzyński wygłosili następujące przemówienia, naprzemian z pięknymi wokalno-muzycznymi utworami, wykonanymi przez miejscowy chór męski i artystów-muzyków.

„Rok bieżący — przemówił prof. Halecki — to rok święty, jubileuszowy, w którym zbiegło się dla nas kilka rocznic podniosłych. Dla całego świata, to jubileusz Odkupienia, a dla Polski katolickiej to — oprócz rocznic odsieczy Wiednia i Batorego — pamiętny moment, w którym odwieczne dążenia narodu polskiego, aby uzyskać wyniesienie Królowej Jadwigi na ołtarze Świętych, doznały szczególnie silnego impulsu i znalazły wkońcu wybitny wyraz w dzisiejszej, wspaniałej uroczystości.

Inicjatywa w tym kierunku podjęta została w Warszawie półtora roku temu przez nieliczne grono ludzi dobrej woli. Zamanifestowała się zaś na szerszej arenie wielkiemi, kolejnemi uroczystościami, najpierw u grobu Królowej na Wawelu, potem w Warszawie, a następnie po całym kraju. Uczcił Królowę Poznań, gdzie ta wielka monarchini rządami swymi wniosła pokój i ukojenie po przewlekłej wojnie domowej, uczciło ją Wilno, gdzie pierwsza wniosła światło Wiary św. Wreszcie uczciła Ją dzisiaj Częstochowa, gdzie u stóp Jasnej Góry zbiegł się głos ludu z całej Polski w jedną, potężną, sharmonizowaną falę.

Nie jest to przypadkowy zbieg okoliczności. Tu bowiem, do stóp Jasnej Góry, przynosi każdy Polak wszystkie pragnienia i nadzieje, prosząc o wstawiennictwo Najświętszej Panny — Królowej Korony Polskiej.

Rok 1382, którego 550-letnią rocznicę niedawno obchodziła Jasna Góra, to rok, w którym ówczesne zabiegi dyplomatyczne zadecydowały o panowaniu Jadwigi w Polsce. Księżę Władysław opolski — zresztą postać historycznie mało sympatyczna — który miał się niebawem przyczynić do wyniesienia Jadwigi i Jagiełły na tron polski, umieścił w tym właśnie roku cudowny obraz Matki Bożej na Jasnej Górze. Jest więc wiele węzłów historycznych, które początki powstania Jasnej Góry łączą z początkami panowania Jadwigi.

Wyraziły się dzisiaj decyzja całego Episkopatu i gorące życzenie całego narodu w sprawie podjęcia procesu kanonizacji świętobliwej Królowej. Ale wytężonej jeszcze trzeba pracy do pokonania różnych trudności, jakie proces kanonizacyjny nastręczyć może.

Zadaniem historji jest w takim wypadku wyjaśnić dokładnie wszelkie fakta i problemy, które łączą się z życiem danej historycznej postaci. Otóż dawni historycy popełnili w tym względzie wielki grzech zaniedbania, gdyż nikt jeszcze nie przedstawił naukowo całokształtu życia i panowa-

nia wielkiej Królowej. Obecnie jednak prowadzone są ożywione badania w tym kierunku, które usunęły już dawne wątpliwości, mogące przeszkadzać rozwojowi kultu Jadwigi. I prawdziwa radość panuje wśród historyków polskich, że badania te uwieńczone są coraz pomyślniejszym i coraz pozytywniejszym rezultatem.

Pokutuje, niestety, ciągle jeszcze sprawa potwarzy, rzuconej na Królowę przez Jej współczesnych nieprzyjaciół. Dotyczy potwarz ta rzekomego dopełnienia ślubów heinburskich Jadwigi z ks. Wilhelmem rakuskim. Ale tu właśnie nowoczesne badania przyczyniły się do obalenia tej złośliwej legendy, wykazując, wbrew twierdzeniu Długosza, że Jadwiga w czasie przybycia Wilhelma do Krakowa nie miała jeszcze nawet ukończonych lat dwunastu, wymaganych przez prawo kanoniczne do ważności dopełnienia ślubów małżeńskich. Gdyby jednak nie wystarczał ten ważny argument, to nietrudno przytoczyć inne.

Wobec Jadwigi okazała się powszechna opinja jakoś niezwykle wymagającą i surową. Wszak tylu wielkich grzeszników w młodości swej stawało się potem wielkimi świętymi. Wystarczy przytoczyć np. św. Pawła lub św. Augustyna, czy innych. A tu przecież nawet, gdyby Wilhelm był zamieszkał na Wawelu, nie byłoby w tem grzechu, skoro łączył ich ślub, w Heinburgu zawarty, gdy oboje byli jeszcze małemi dziećmi. Byłoby wtedy tylko grzechem małżeństwo z Jagiełłą. Skoro jednak Episkopat polski do tego małżeństwa namawiał i ślubu z Jagiełłą udzielił, to widocznie uważał ślub z Wilhelmem za niedokonany.

Zresztą wkrótce potem sprawa ta oparła się o Rzym i w r. 1388 Papież Urban VI uznał całkowitą ważność ślubu Jadwigi z Jagiełłą, a również i jego następca, Bonifacy IX, stał na tem samem stanowisku.

Ten wyrok, wydany przez Urbana VI-go, będzie też niewątpliwie miarodajny dla obecnego Papieża. A gdyby

ktokolwiek, nieprzychylny sprawie, chciał zarzucić, że ówczesne orzeczenie wydane było na korzyść Jagiełły ze względów politycznych, to odeprzeć można taką insynuację skonstatowaniem, że w politycznym interesie Urbana VI-go leżało raczej wydanie przeciwnego wyroku, sprzyjającego możnej dynastji Habsburgów, z której ks. Wilhelm pochodził. Potrzebował bowiem Papież życzliwego stanowiska tej dynastji w zwalczaniu schizmy awiniońskiej, a wydając orzeczenie na korzyść małżeństwa Jadwigi z Jagiełłą, narażał się Habsburgom. A jednak uznał za sprawiedliwe wydanie takiego wyroku.

Historja życia Jadwigi obfituje w wiele świadectw Jej świętobliwości w życiu prywatnem i na tronie. Pod względem politycznym, ideał państwa chrześcijańskiego był wytyczną i treścią Jej panowania. We wszystkie sprawy wewnętrzne i zewnętrzno-państwowe wnosiła ideę pokoju i piętno niezwykłego politycznego rozumu. Powie ktoś może, że unja z Litwą nastąpiła, gdy Jadwiga miała dopiero dwunasty rok życia i że w tak młodocianym wieku mogła wprawdzie zdobyć się Królowa na osobistą ofiarę w dziecinnym, heroicznym porywie, na który nie zdobyłaby się może dojrzała kobieta, ale za to nie mogła była w tak młodym wieku i wciągu tak krótkiego panowaia utrwalić tej unji. Otóż takie mniemanie byłoby błędnem. Właśnie bowiem pod koniec Jej rządów Unja przechodzi ostry kryzys. Układem w Krewie stosunek Litwy do Polski nie był bowiem dość ściśle określony i stąd wynikły zatargi. Wówczas Jadwiga zażądała śmiało od Witolda czynszu z Litwy i Rusi. Zrazu nastąpiło wtedy w r. 1398 zaognienie, opór litewskich bojarów i zawarcie przymierza między Witoldem a Krzyżakami, na zgubnych dla Litwy warunkach. Ale Królowa wiedziała, co robi. Chodziło Jej o to, aby przekonać Witolda i bojarów, że tylko ścisły związek z Polską będzie dla nich i dla Litwy korzystnym. I rzeczywiście, już w miesiąc potem rzuca Witold Krzyżaków, porozumiewa

się z Jadwigą, a w półtora roku po jej śmierci bojarzy litwscy układają się ze szlachtą polską. Litwa staje się narazie państwem lennem Polski, na modłę zachodnią. Unja zacieśnia się i wzmacnia przeciwko wspólnemu wrogowi.

Mimo wielkiego dzieła, jakiego dokonała Jadwiga na wschodzie, umysł Jej zwrócony był z natury rzeczy przedewszystkiem ku sprawom zachodnim, gdzie Jagiełło, świeżo nawrócony na Wiarę św., niewiele mógł z początku zdziałać. Ona natomiast, córa domu andegaweńskiego, z daleko większym wystąpić mogła autorytetem i przeciwdziałać ustawicznym intrygom krzyżackim, które starały się cały zachód przeciw Polsce nastrajać.

Z tego też swego, zachodnio-europejskiego punktu widzenia, gdzie myśl o walce z wdzierającym się w tym okresie do Europy półksiężycem nigdy nie ustawała, była Jadwiga przeciwną wyprawie Witolda na Tatarów, zakończonej, jak wiadomo, klęską nad Worsklą. Przewidywała bowiem swym głębokim rozumem politycznym, że nie w zastępach Tamerlana, budującego sobie państwo mongolskie na dalekim wschodzie i pogromcy Turków, ale właśnie w tych ostatnich ma chrześcijańska Europa prawdziwie groźnego wroga, który nad nią kiedyś niebezpiecznie może zaciążyć. Dlatego wolałaby była, aby Polska wraz z Litwą dobyły oręża przeciw Turcji. I ta właśnie myśl polityczna przenika późniejsze dzieje Polski, aż po tryumf odsieczy wiedeńskiej króla Jana III-go.

Zważyć dalej należy, że gdy Jadwiga za świętą ogłoszoną zostanie, to nietylko dla Polski, ale i dla całego świata. Stąd też rozpatrzeć trzeba Jej postać i dzieła na tle dziejów powszechnych. Oto Polska za Jej panowania cieszy się ogólnym rozkwitem na każdem polu, gdy tymczasem gdzieindziej panuje kryzys, związany z ówczesnym przełomem średniowiecza: osłabienie Francji i Anglji w stuletniej wojnie, rozstrój niemiecko-rzymskiego imperjum, chaos w Czechach i na Węgrzech, przedewszystkiem zaś

wielka schizma zachodnia. Jadwiga nie miała ani chwili wahania w uznaniu rzymskiego Papieża, czem uchroniła kraj swój od wielkich zamieszek, a nawet rozszerzyła władztwo prawdziwego Kościoła na Litwę. A było to dzieło niełatwe, skoro przecież dawno przed Nią, od czasów Mendoga, siliło się o nie na próżno wielu polityków i misjonarzy. Rzec można wobec tego, że dzieło to, tak szybko i skutecznie przeprowadzone i utrwalone, było zaiste cudem. A i politycznie dokonała dzieła wyjątkowego. Wszak zawarta w tej samej mniejwięcej epoce unja trzech państw skandynawskich, pokrewnych sobie pochodzeniem, językiem i tradycją, rozbiła się po paru latach istnienia. Rzecz oczywista, że świeżo nawrócony Jagiełło nie mógł sam urzeczywistnić projektu krewskiego, panowie zaś polscy, aczkolwiek inicjatorzy Unji, działali jednak w znacznej mierze pod wpływem pobudek egoistycznych. Jadwiga lepiej zrozumiała tę wielką sprawę, uznała ją za swoją misję, poświęciła jej swoje szczęście i dlatego właśnie powstała Unja trwała. To drugi cud — polityczny.

To też słusznie powiedział niedawno ks. Nuncjusz Marmaggi, że kanonizacja Jadwigi może dokonać znowu cudu: pojednania Litwy z Polską.

Nasza zaś wielka Orędowniczka, Matka Najświętsza, Królowa Korony Polskiej, niewątpliwie wysłucha modlitw, z jakiemi w tej sprawie cały dziś naród do Niej się zwraca".

Dr. Bobrzyński zabrał następnie głos na temat:

TESTAMENT KRÓLOWEJ JADWIGI.

„Jest rzeczą zrozumiałą, że otrzymawszy niezmiernie zaszczytny mandat przemówienia na dzisiejszej uroczystości, muszę wielkie odczuwać wzruszenie zabierając głos w tak podniosłym, niewątpliwie historycznym momencie, wobec tak dostojnego zebrania, no i w takiem miejscu —

pod promieniami wieżycy Jasnogórskiej. A zrozumiałe to wzruszenie mówcy musi jeszcze potęgować się przeświadczeniem, że dochodzi wreszcie do realizacji pięciowiekowy postulat narodu polskiego, o który napróżno zabiegały raz po raz poprzednie pokolenia.

Ktokolwiek jednak bacznie studjuje ten każdorazowy zbieg okoliczności, który w ciągu dawnych i najdawniejszych zabiegów o wyniesienie Królowej Jadwigi na ołtarze Świętych zatamowywał, aż po wojnę światową, doprowadzenie do skutku tego wielkiego, słusznego i pełnego wiary zamierzenia, ten nie może oprzeć się mimowolnemu wrażeniu — graniczącemu może z pewnego rodzaju mistycznem uczuciem — jak gdyby jakieś złe moce stawały do niedawna temu zamierzeniu na przeszkodzie. Zawsze zaszło coś takiego w dziedzinie politycznej, czy innej, co doprowadzone już pomyślnie do pewnego stadjum dzieło nagle paraliżowało.

Skąd, zada sobie pytanie ów badacz, mogła wychodzić ta hamująca moc złego? Odpowiedź musi wypaść smutno dla nas przy poważnej analizie wypadków dziejowych: ta moc zła mogła mieć swe źródło przedewszystkiem w samem naszem społeczeństwie, w całym jego rozwoju historycznym w ciągu kilku wieków ubiegłych, a zwłaszcza w dobie, która w następstwach swych sprowadziła upadek dawnej Rzeczypospolitej polskiej. Mam wrażenie i więcej, bo przekonanie, że między upadkiem politycznym tak potężnego ongiś państwa, a między daremnymi zabiegami o kanonizację tej właśnie wielkiej i świętobliwej Królowej, która genjuszem swym, ofiarą całego swego życia i błyszczącym przykładem cnót podwaliny mocarstwowe tego państwa stworzyła, zachodzi jakiś organiczny związek. I stąd wysuwa się logicznie uzasadniona teza, że jeżeli naród polski w swej wskrzeszonej do nowego życia Ojczyźnie przetrawił już wewnętrznie swe dawne błędy, jeżeli dorósł do wysokości swej misji dziejowej, jeśli odzyskał

swą moc i tężyznę, równoważną tej, jaką posiadał w epoce panowania Jadwigi, to zdobędzie się także na osiągnięcie beatyfikacji tej wielkiej historycznej postaci, która tej wewnętrznej mocy, tężyzny i potęgi narodowej, a zarazem i cnót narodowych, stała się symbolem. Rzec mogę bez przesady, li tylko na podstawie głębszej, a realnej oceny naszej historji z ubiegłych pięciuset lat, że jeżeli Polska dzisiejsza, mimo wszelkich ewentualnych jeszcze trudności, zdoła doprowadzić do skutku kanonizację Królowej Jadwigi — dzisiaj, w pełni zmaterjalizowanego XX-go wieku — to o przyszłość jej można być spokojnym.

I czemże tak wielką stała się rola świętobliwej Królowej w naszych dziejach, dlaczego symbol Jej świetlanej postaci jest dla nas po upływie tylu wieków wciąż jeszcze promiennym drogowskazem przyszłości? Jakim sposobem zdołała wpłynąć na rozwój mocarstwowy narodu i państwa polskiego tak twórczo w każdym kierunku? Jakim sposobem zdołała dokonać tego, lub przyczynić się wybitnie do dokonania, młoda niewiasta, która nie miała nawet jeszcze okazji do nabycia dłuższego doświadczenia życiowego i doświadczenia na tronie, skoro zgasła, rzec można, jeszcze w wiośnie wieku?

Dokonała tego wszystkiego Jej heroiczna cnota, ugruntowana pełną świadomością Jej posłannictwa w danych, ówczesnych warunkach, która wytworzyła dokoła Jej niezwykłej postaci, a pośrednio przez Nią dokoła Polski ówczesnej, wielką moc atrakcyjną. To też nie mieczem, nie gwałtem i przemocą, w co obfituje historja rozwoju wielu państw, ale właśnie tem heroicznem poświęceniem i ujmującym, przyciągającym autorytetem Swego gestu, słowa i czynu dokonała wielka Królowa tych wszystkich historycznych faktów i rezultatów, które z Jej imieniem na zawsze są związane. Szła w naród polski, potem litewski i ruski, z krzyżem w ręku, z miłosierdziem, z oddaniem i z pochodnią wysokiej kultury. I to właśnie, a nie co in-

nego, opromieniło Jej postać aureolą tak wysokiego autorytetu i świętobliwości, że wszyscy ówcześni w Jej państwie i zagranicą, poczynając od Papieża Bonifacego, a kończąc na delegacjach miast ruskich, oddających się Jej w opiekę, zwracali się do Niej, jak świadczą o tem dokumenty, z wyrazami szczególnego uznania, przywiązania i — o ile chodzi o szersze rzesze — hołdu. Nawet pycha i zajadłość krzyżacka, nie uznająca nikogo nad sobą na świecie, przed Jadwigą musiała chylić czoła. Tem podbiła Jadwiga serca i umysły, tem dokonała w rezultacie doniosłych czynów politycznych i kulturalnych w swem wielkiem państwie, tem również zyskała wielki wpływ na swego króleskiego małżonka. Tem więc — nie mieczem, ale sercem, pełnem miłości i ofiarnem oddaniem swym wielkim zadaniom—wskazała Jadwiga również i przyszłym pokoleniom, jaką to mocą należy budować i utrwalać Polskę mocarstwową.

W tem wielkiem wskazaniu, w tej, doniosłymi przykładami popartej dyrektywie, jaką największa nasza królowa i świętobliwa na tronie polskim niewiasta, wśród wielkich trudności i osobistych cierpień dała narodowi polskiemu, leży niespożyte Jej znaczenie dla nas po wszystkie czasy. A dowodem tego najwymowniejszym jest przecież fakt, że jesteśmy tu zebrani, dzisiaj, w pięć wieków zgórą po Jej śmierci, dla oddania Jej hołdu i dla szukania przez Jej wstawiennictwo pomocy i natchnienia w ciężkich zmaganiach różnego rodzaju, jakie naród nasz — wraz z całym zresztą światem — dzisiaj przechodzi. Do Niej, do Jej pamięci, symbolu i przykładu, zwróciły się jednym niemal odruchem żywiołowym wszystkie serca w polskiem społeczeństwie, choć warunki średniowiecza, w których żyła i rządziła, tak dawno już minęły i tak do gruntu się zmieniły.

Jakież to losów koleje przechodził świat i naród polski od tej odległej epoki! Ileż to idei, światopoglądów i okre-

sów, wyliczanych kolejno przez historję, minęło od tej chwili! Ileż chwil tryumfu i upadku przeżył naród polski, iluż miał wśród siebie wielkich ludzi, ileż przed sobą wielkich idei, jakże wysoko — powiem szczerze: może zbyt wysoko pod pewnym względem — wzniosła się od tego czasu kultura techniczna, wielkie wynalazki i cały nasz dorobek cywilizacyjny, gdzieniegdzie wprost nawet nadmierny, a przez to na niejednem polu zbyt zarozumiały i szkodliwy — a my jednak wciąż pamięcią, sercem i jakgdyby instynktem samozachowawczym, jakgdyby głębszą, podświadomie wyczuwaną racją stanu, wracamy wciąż do wielkiej postaci Jadwigi!

Za Jej to mniej więcej czasów na tem miejscu, tak uświęconem później w sercach i wierze całego narodu, stał zaledwie mały na wzgórzu kościołek z cudownym obrazem, nie rozsławiony jeszcze wtedy szeroko w Polsce i na świecie. A dzisiaj, po przeszło pięciu wiekach, gdy obraz cudowny i Kościół Jasnogórski stały się oddawna już ogniskiem, skupiającem gorące przywiązanie całego narodu, na tem właśnie miejscu, a nie gdzieindziej, zebrali się przedstawiciele całego katolickiego społeczeństwa polskiego, aby przez ręce swych Arcypasterzy złożyć u stóp Stolicy Apostolskiej z najgłębszego przekonania płynącą prośbę o widomą gloryfikację tej Monarchini, której postać, przykład i testament dziejowy każdy z nas w sercu swem nosi. Czyż to wszystko nie dość wymowne dowody, że przykład ten i testament, ofiarnem życiem nakreślony, są ciągle dla nas aktualne, że nic nie straciły na znaczeniu mimo olbrzymiej różnicy czasów i stosunków! A największem w życiu i dziele Jadwigi było to właśnie, że ideał świętobliwości niewieściej umiała wcielić w ideał wielkej monarchini i obie te strony swej postaci wspaniale zharmonizować.

Tchnęła w Polskę na długie czasy tę moc przyciągającą, która stworzyła w następstwie mocarstwo Jagiellonów nie drogą ekspansji zaborczej, lecz wprost przeciwnie, wsku-

tek kolejnych adhezji okolicznych krajów i ludów, które widziały w sojuszu, czy w stosunku lenniczym, czy nawet w całkowitem złączeniu się z państwem polsko-litewsko-ruskiem takie korzyści, że niektóre aż wyłamywały się samorzutnie z pod twardych, niesprawiedliwych rządów swych władców, uciekając się pod opiekę zjednoczoego mocarstwa o troistym herbie Orła, Pogoni i św. Michała. A siłę tę atrakcyjną, jedyną może w swym rodzaju w historji, zaszczepiła Polsce ówczesnej idea miłości i sprawiedliwości, promieniejąca z każdego uczynku, z każdego słowa świętobliwej Królowej. Nie była to bynajmniej słabość, ani uległość wobec obcej siły, czy agresywności, bo Polska ówczesna potężną była, czego dowody, aż nadto wybitne, złożyła na polach Grunwaldu i w innych potrzebach. Ale właśnie ten element miłości bliźniego, miłości wszelkiej słusznej sprawy, będący dziełem i zasługą Jadwigi, nadawał późniejszej polityce Jagiellonów tę siłę skupiającą, dośrodkową, która decydowała nawet o rezultatach koniecznych wystąpień orężnych. Bez tej siły, która pociągnęła ku Polsce mieszkańców ziem pruskich pod panowaniem krzyżackiem, nie byłoby może tak świetnego tryumfu grunwaldzkiego, nie byłoby przedtem jeszcze tak silnej adhezji Litwy i Rusi, nie byłoby ekspansji polskich wpływów w różnej postaci na Czechy, Węgry i Wołoszczyznę, nie byłoby różnych momentów blasku i chwały i wielkich czynów, które potęgę i imię Polski rozsławiły po świecie. A że to nastąpiło, to wynikiem było idei miłości, w promiennem przeciwstawieniu do zaborczej, dzielącej ludzi i narody nienawiści, na której niejedno z państw obcych budowało wówczas i później swą efemeryczną potęgę.

Gdy w dzisiejszem naszem położeniu wewnętrzno i zewnętrzno-państwowem spojrzeć w przyszłość trzeźwem, nieuprzedzonem okiem, to testament historyczny Królowej Jadwigi oraz wytyczna idea, którą nam ona dla realizacji tego testamentu przekazała, w większym jeszcze, niż kiedy-

kolwiek przedtem, występują aktualiźmie i blasku. Narzucają się nam całym organicznym rozwojem nowoczesnych stosunków, wprost jako fundamentalna racja stanu Polski i to z każdego punktu widzenia. Bo w polityce światowej, w stosunkach międzynarodowych, jakie wytworzyły się na podłożu skrajnie materjalistycznej zachłanności, w ciągu zwłaszcza ostatnich dwóch wieków, panują naogół albo brutalne prawo miecza i złota, opłakane w ostatecznych swych rezultatach płodzące skutki, albo pokrywanie istotnej słabości i niepewności wewnętrznych stosunków systemem agresywnej, zaborczej prowokacji. A testament Jadwigi wskazuje Polsce całkiem inną drogę i metodę: spokojna pewność siebie, na poczuciu rzeczywistej siły oparta, przy stosowaniu wszędzie, w rządach wewnętrznych, w stosunkach społeczno-gospodarczych i w stosunkach z obcymi owej idei i taktyki miłości, wytrącającej broń z ręki chwilowego przeciwnika i zmuszającej go prędzej czy później do wyciągnięcia do nas ręki w przekonaniu, że z tego wyciągnięcia ręki wynikną dla niego oczywiste korzyści. W takiej postawie, w tem nastawieniu i w regeneracji owej siły atrakcyjnej dokoła państwa polskiego, leży jego promienna przyszłość, jego szczególna misja i siła, zapomocą której przyszłość tę swą zbudować i misję tę moralną i polityczną spełnić może.

A na wewnątrz? I tu mamy wskazanie świętobliwej Królowej, owe pamiętne słowa: „Kto im łzy powróci?“ Rozdzielony jest nasz naród, jak i inne, głęboką waśnią polityczną, społeczną, zawodową. Podzielone jest społeczeństwo, kraj nasz zamieszkujące, także waśniami narodowościowemi. Wszystkie razem osłabiają wszystkich i nie prowadzą ani do swych celów, ani do podniesienia dobrobytu, ani — co najważniejsze — do podniesienia ducha i moralności w tych niezwykle ciężkich i skomplikowanych warunkach, jakie nas gniotą i niszczą. Bezsilne środki, czysto tech-

niczne i formalne, wymyśla się nowoczesną, ultra-realistyczną metodą dla zaradzenia złemu, o ile w poszczególnych konkretnych wypadkach jest wogóle szczera wola w różnych sferach społeczeństwa, aby temu złemu naprawdę zaradzić! Doktrynerstwem i nienawiścią chcą jedni drugich pokonać i przekonać, w naiwnem a szkodliwem mniemaniu, że doktrynerstwo i metoda nienawiści mogą cośkolwiek produktywnego stworzyć! I stąd ciężkie położenie wciąż się pogłębia i wyjścia z niego nie widać. A to znów wspomaga zastraszający rozwój idei i systemów amoralnych wszędzie, na wszystkich polach.

A gdybyśmy tak zechcieli wspomnieć na przytoczone wyżej słowa Jadwigi, tchnące miłością i poczuciem sprawiedliwości społecznej i wzięli pod rozwagę, czy tą metodą, przez wielką Królowę zaleconą, nie dojdzie się prędzej i realniej do rozwiązania szeregu gnębiących nas problemów? Gdyby każdy polityk i każdy człowiek, na polu społecznem lub gospodarczem, na jakiemkolwiek pracujący stanowisku, zechciał na chwilę wejść w siebie i zastosować praktycznie wobec swego bliźniego, nawet swego przeciwnika, to zapytanie wielkiej Królowej: kto mu łzy, z nędzy lub w walce wylane, powróci? Wówczas może znalazłyby się nietylko w teorji, ale i w praktyce odpowiedzi na owe kapitalne, tak nas dręczące zagadnienia całkiem nowoczesne, na które napróżno silą się dać odpowiedź wszyscy dzisiejsi mędrcy świata i wszystkie międzynarodowe konferencje, wszystkie poglądy polityczne i wszelakie doktryny społeczno-gospodarcze!

Nie znaczy to oczywiście, żeby się rozrzewniać nad każdym przeciwnikiem. Wszak i Jadwiga umiała znaleźć zdecydowane, silne akcenty wobec zachłanności i przewrotności Krzyżaków, którym w mądrem przewidywaniu klęskę przepowiedziała. Miłość bliźniego, taktyka kojenia przeciwieństw i system jednania przeciwników nie są i nie powin-

ny być równoznaczne z okazywaniem uległości i słabości. Gdzie konieczna zachodzi potrzeba, tam słowo zdecydowane i czyn stanowczy muszą odegrać rolę. Ale chodzi o to, aby w stosunkach między ludźmi różnych warstw i przekonań nie nienawiść, nie chęć zniszczenia przeciwnika były wytyczną myślą, taktyką i celem. Tego przykład wspaniały, olbrzymim uwieńczony rezultatem w bardzo trudnych warunkach, daje nam życie i panowanie Jadwigi, a daje i bardzo praktyczną po wsze czasy społeczeństwu polskiemu wskazówkę, jak ma postępować, aby najtrudniejsze wewnętrzne i zewnętrzne pomyślnie rozwiązywać problemy.

Królowa Jadwiga była świętobliwą nietyle w kontemplacji i w ascezie, choć i te średniowiecznym zwyczajem uprawiała, ile przedewszystkiem świętobliwą w czynie i to w czynie, który szedł między ludzi z wysokości tronu w najszersze warstwy społeczeństwa. A w takiem położeniu, wśród takich zadań i obowiązków, zwłaszcza monarszych, zależnych od bieżących wypadków politycznych, od wymogów dyplomacji, które niezawsze prostą wiodą drogą, trudniej jest być świętym, niż w zaciszu klasztoru. A jednak temu właśnie praktycznemu, niezmiernie trudnemu zadaniu, najeżonemu tysiącem konfliktów, umiała sprostać Jadwiga w sposób tak wspaniały, że urokiem swych czynów i swej postaci podbiła nietylko obce jej przedtem ludy, nad którymi dzierżyła berło, ale i całą niemal ówczesną Europę. A wynikiem jej cnót heroicznych był nietylko podniosły przykład, dany narodowi, ale równocześnie także rzecz bardzo światowa, praktyczna i widoma: prawdziwa mocarstwowość Polski.

A to jest przykład i rezultat, który szczególnie w dzisiejszych, tak zmaterjalizowanych i tak przesiąkniętych skrajnym pozytywizmem stosunkach powinien nam dać do myślenia. Idea poświęcenia i wysokiej moralności w postępowaniu, płodząca nietylko atmosferę świętobliwości, ale

i potężne, korzystne ziemskie walory — czyż to nie wskazówka, którą dobrze powinni wziąć pod rozwagę ludzie polityki, gospodarstwa i wszelakiej pracy społecznej, zwłaszcza w tak trudnych warunkach, w jakich dziś żyjemy!

I w tem właśnie leży ta dziwna, pozornie zagadkowa, jakgdyby mistyczna tajemnica, dlaczego w polskim narodzie kult Królowej Jadwigi nigdy nie ustawał, dlaczego myślą ciągle wracano do Jej pamięci i dlaczego dzisiaj, po półtysiącu lat, niewielkiej trzeba było podniety, aby kult ten odżył w całej pełni i zrealizował się szybko szeregiem wspaniałych obchodów i postanowieniem zaniesienia prośby o beatyfikację do Stolicy św. Główną przyczyną tego jest jakgdyby podświadome wyczucie, że naród polski coś bardzo wielkiego zawdzięcza Jadwidze — coś, co ma olbrzymią i zawsze aktualną trwałość na najdalszą przyszłość.

A że obecna, bezpośrednia akcja w społeczeństwie polskiem, zmierzająca do oddania sprawiedliwości dziejowej Królowej Jadwidze, podjęta została właśnie w tym momencie, a nie o szereg lat wcześniej lub później, to ma również bardzo symptomatyczne znaczenie. Widzimy wszędzie, jak świat cały, wychudzony ideowo ateizmem, a przynajmniej indeferentyzmem i materjalistycznem doktrynerstwem wszelkiego rodzaju, wprzągnięty duszą i ciałem w służbę złotego cielca, postawiwszy sobie na miejscu etyki Boskiej jakąś etykę świecką, doraźną, do potrzeb każdej polityki, każdej warstwy i sfery, każdego niemal zawodu utylitarystycznie przykrojoną, a przez to ponosząc coraz straszniejsze cięgi moralne, kulturalne i materjalne, zaczyna zwolna, ale widocznie zwracać się do Boga. Mieliśmy niedawno nawet przykłady, bardzo charakterystyczne i podniosłe, budzenia się w obliczu wielkich klęsk i nieszczęść, które pewne części ludzkości szczególnie dotknęły, żywiołowego solidaryzmu w zgodnem wyciągnię-

ciu rąk do Boga już nietylko w obrębie świata katolickiego, nietylko ogólno-chrześcijańskiego, ale nawet w obrębie ludzi wszelkiej wiary, jednego Boga wyznających. Ludzkość, mimo całego swego codziennego nawału absorbujących ją zajęć, trosk, kłopotów, bolączek i nieszczęść codziennych, a raczej właśnie wskutek nadmiaru tych poziomych dolegliwości, wypróbowawszy rozpaczliwie, a daremnie, wszelkie leki i środki, jakich mogła jej dostarczyć świecka wiedza, polityka, dyplomacja, ekonomja i t. d., zaczyna zwolna rozumieć, że wszystkie te, najmędrsze nawet i najtrafniejsze sposoby nie wyleczą choroby, która leży zasadniczo w upadku wiary i głębszej, prawdziwej kultury, zapoczątkowanym o progu nowszej ery przez filozofów racjonalistycznych XVIII-go wieku, ze wszystkiemi tejże filozofji i doktryny następstwami w życiu politycznem, społecznem, gospodarczem, a przedewszystkiem moralnem. Wywyższono wówczas t. zw. czysty rozum ludzki na piedestał najwyższego trybunału, mającego rozstrzygać o wszystkiem, a usuwając z tego piedestału wśród zarozumialczych, niby wolnościowych okrzyków — Boga. Porwał się rozum ludzki, najpierw mędrców, wnet potem tłumu, na szalone przedsięwzięcie decydować nietylko o sobie, ale i o prawach przyrody.

I rezultat nie dał długo czekać na siebie. Zarozumialczy poryw ludzkiego rozumu, targając wszelkie moralne pęta i stawiając obok posągu ludzkiej mądrości w logicznej konsekwencji także posąg złotego cielca, znalazł się dziś fatalnie we własnym potrzasku ekonomiczno-społecznym, z którego oczywiście żadne materjalne środki, żadne płomienne odezwy, żadne narady, konferencje, ani inne, czysto techniczne metody nie są w stanie go wydobyć. Widać to z roku na rok coraz jaśniej, coraz wyraźniej, jak na dłoni. Widać bezsilność zwykłych środków technicznych, bo katastrofa, jaka nas dotknęła, wywołana została właśnie nadużyciem materji a pogardzeniem ducha.

Stąd budzi się zwolna otrzeźwienie i skołatana ludzkość zaczyna szukać oparcia gdzieindziej, niż miała je dotąd w ciągu dwóch wieków ostatnich. Szuka oparcia w nawrocie do Boga i w uznaniu już nietylko moralnego, ale wprost i materjalnego waloru pierwiastków wyższych, nadprzyrodzonych. Nie wszyscy jeszcze, niestety. Jest jeszcze mnóstwo wielkich realistów, pozytywistów i aktualistów, którzy w dalszym ciągu wyczekują zbawienia z różnych źródeł widomych, namacalnych, a srodze już zużytych. Wyczekują zbawienia od konferencji przeciwwojennych, które w istocie przygotowują wojnę, a conajmniej maskują chytrze intensywne do niej przygotowania. Wyczekują zbawienia od wielkich konferencji i różnych technicznych, sztucznych pociągnięć gospodarczych ze strony możnych tego świata, którzy nie są wstanie spełnić tych nadziei. Wyczekują wreszcie jakichś nadzwyczajnych zmian ustrojowych, jakgdyby same ramy jakiegoś nowego ustroju, bez wewnętrznej, głębszej treści, mogły tę treść zastąpić i szczęście ludziom sztucznie wyprodukować. Ale mam wrażenie, że przeświadczenie, iż wybrnięcie z impasu i uzdrowienie stosunków od przebudowy moralnego nastawienia zmaterjalizowanej ludzkości przedewszystkiem zależy, ogarniać będzie coraz więcej umysłów, a ci, którzy upierają się przy locie przyziemnym, przy stosowaniu w dalszym ciągu tych samych trucizn, które chorobę wywołały, srodze się zawiodą. Czas niebawem pokaże — oby nie zbyt nagle, zbyt gwałtownie!

I na tem właśnie tle, na tym ogólnym, żywiołowym nawrocie do Boga, którego świadkiem być zaczynamy, uwypukla się tem wyraźniej obecny zwrot historyczny szerokich sfer społeczeństwa polskiego do świętobliwej, promiennej postaci Królowej Jadwigi. Odczuwamy wszyscy wielki upadek kultury i ducha w społeczeństwie, odczuwamy niemoc naszą w zwalczaniu różnorodnego zła, które nas przygniata i w wysiłkach czysto technicznych dźwiga-

nia się z ciężkiego położenia. Dlatego z takim entujzazmem zwracamy się do pamięci Królowej, dlatego chcemy Ją mieć za orędowniczkę i w tem też leży najgłębszy sens i znaczenie naszego odruchu, aby uzyskać zaliczenie Jej w poczet Świętych.

Ale nie wystarczy dla uzdrowienia stosunków odruch, nie wystarczy zrozumienie i najlepsza wola. Chcąc prawdziwie uczcić świętobliwą Jadwigę i zasłużyć na Jej orędownictwo, trzeba, abyśmy i sami wdrożyli w czyn te cnoty kardynalne, które tak podziwiamy w Jadwidze, abyśmy we wszelkich sprawach i sytuacjach i wobec każdego zastosowali tę samą twórczą, przyciągającą, konsolidującą taktykę miłości bliźniego na wszystkich polach życia i pracy, gdyż ona właśnie powróci nam tę moc, którą uzyskała Polska Jagiellonów na podstawach, stworzonych błogosławionymi rządami, blaskiem cnót i heroizmem wielkiej Królowej.

Oby na podstawie orzeczenia Stolicy św. nadszedł jaknajprędzej czas, gdy modlić się będziemy mogli o wzmożenie tych cnót narodowych otwarcie przed ołtarzem świętej Królowej Jadwigi!“

* * *

Tłumy opuszczały salę akademji, spiesząc częściowo na dworzec. Ale część z nich kierowała się jeszcze ku Jasnej Górze, dokąd płynęły alejami wciąż jeszcze nowe zastępy. I gdy tak widziałem te szeregi, spieszące ze wszystkich stron kraju późnym już wieczorem pod mury jasnogórskiej świątyni, to przyszło mi nagle na myśl jakgdyby objawienie pewnej wielkiej prawdy:

Dopóki z wieku po wiek płynąć będą te polskie rzesze do Jasnej Góry z głęboką wiarą w sercach, dopóty o losy naszego kraju i narodu spokojni być możemy!

O PODEJŚCIE DO WALKI Z OBECNĄ KATASTROFĄ SPOŁECZNO-GOSPODARCZĄ.

KOMUNIKAT KOŁA PRZYJACIÓŁ „NASZEJ PRZYSZŁOŚCI".

Od dwóch lat zajmuje się „Nasza Przyszłość" — zgodnie ze swym programem — także sprawą dotarcia do najistotniejszych przyczyn obecnego t. zw. kryzysu gospodarczego, który, według zgodnej już opinji powszechnej, nie jest kryzysem gospodarczym w ścisłem tego słowa znaczeniu, a więc żadnem nagłem załamaniem, ani przełamaniem ekonomicznem, ale progresywnym, stałym upadkiem gospodarstwa, kultury, moralności i zdrowej logiki na całym świecie i to na podłożu głębokiego kryzysu — tu prawdziwego kryzysu — ustrojowo-państwowego i ustrojowo-społecznego. A zajmując się istotą tej katastrofy, szuka zarazem oczywiście właściwej drogi wyjścia, której nigdzie dotąd nie znaleziono, tak, że wydaje się, iż niema jej wogóle i że świat zabrnął w beznadziejnym impasie.

Tak twierdzi coraz więcej poważnych pisarzy i tak wynikałoby na pozór z jałowości tych wszystkich wysiłków, konferencji, koncepcji, środków i paljatywów na terenie każdego państwa i na arenie współpracy międzynarodowej, których świadkami jesteśmy od lat kilkunastu. A kilkanaście lat w dzisiejszych warunkach, przy niebywałej szybkości zmian konjunktur światowych, oraz środków komunikacyjnych, to wielki kawał czasu, który daje możność nabywania dużego doświadczenia i wyciągnięcia głębokiej nauki.

Jeżeli „Nasza Przyszłość" wraz z gronem działaczy, dokoła niej skupionych, nie wystąpiła dotąd z jakimś konkretnym programem w tym zakresie i z czynną akcją pro-

pagandową, jak to uczyniła już z powodzeniem w niejednym innym kierunku, to dlatego, że problem ten jest ze względów technicznych, a jeszcze bardziej psychicznych, szczególnie trudny i wymagał nietylko zasadniczego zgłębienia, ale i ustalenia najwłaściwszej praktycznej metody wystąpienia na forum publicznem i konsekwentnego prowadzenia akcji wszelkim rodzajem propagandy. Zdawaliśmy sobie doskonale sprawę z tego, że ponieważ chodzi nie o dorywcze, szczegółowe środki, nie o owe „angielskie plasterki", którymi powszechnie usiłuje się na całym świecie goić pewne, chwilowe symptomy zewnętrzne ciężkiej choroby, ale o zdecydowane wtargnięcie w najgłębsze podstawy kryzysu, wydobycie na wierzch prawdy i wyciągnięcie z niej konsekwentnych wniosków, dla wielu warstw i zespołów może i bardzo niemiłych, to możemy zrobić sobie wśród powierzchownie myślących business'manów wielu wrogów, gdyż skuteczne lekarstwo niezawsze bywa słodkie. Operacja jest zawsze rzeczą niemiłą, choćby nawet pacjent spodziewał się i rozumiał, że mu uratuje życie i wróci zdrowie. A iluż jest dzisiaj na świecie pacjentów gospodarczych, ciężko chorych, którzy wcale tego nie rozumieją i ze ślepym uporem zrozumieć nie chcą!

Stąd też, mimo długiego szeregu badań i narad, a nawet liczniejszych, ad hoc zwoływanych wewnętrznych konferencji, mimo dojścia już od dawna do właściwych konkluzji i wniosków, mimo nawet podjętych już dawno postanowień, aby z nimi na arenę publiczną wystąpić, odwlekaliśmy to z miesiąca na miesiąc, ograniczając się do pewnych tylko aluzji i do pewnych, od czasu do czasu, artykułów. Dopiero dziś, gdy dłuższe doświadczenie potwierdziło całkowicie nasze wnioski, gdy wytworzyła się w naszem gronie do pewnego stopnia już prawdziwa szkoła ekonomiczno-społeczna, gotowa poprzeć swe argumenty odpowiednim materjałem faktów i dać zdecydowaną odpowiedź ewentualnym oponentom — dopiero dziś więc występu-

jemy publicznie z tą sprawą, przedstawiając niniejszem przedewszystkiem kwintesencją naszych badań, dyskusji i konkluzji.

*

* *

Skoro o gospodarcze chodzi tu w ostatecznym rezultacie zagadnienie, więc, aby wyeliminować zaraz z początku jakiekolwiek możliwe nieporozumienie co do naszych dążeń i zamiarów, uważamy za wskazane ustalić następującą, naczelną tezę, reasumującą w sobie kwintesencję programu, jaki w obecnych warunkach winno sobie postawić życie gospodarcze, jako cel i jako najwłaściwszą drogę dźwignięcia się z upadku:

Przez odpowiednią do wymagań prawa podaży i popytu redukcję dochodów brutto zwiększyć zyski netto.

Teza ta, nawskroś prokapitalistyczna i stająca w obronie gospodarki indywidualnej i prywatnego prawa własności przeciw wszelkim tendencjom etatyzmu, czy kolektywizmu, niech zgóry uspokoi tych, którzyby w toku dalszych naszych wywodów, rozcinających ostrym nożem zabójcze wrzody, wyrosłe z biegiem czasu na dzisiejszej kulturze społeczno- gospodarczej, byli chwilowo zaniepokojeni lub niepewni co do istoty naszych zamierzeń i programu.

Bo naprawdę, praktyczny rezultat całokształtu obecnego położenia gospodarczego kulminuje w tem, że przedsiębiorstwa wszelkich kategorji, oczywiście ogółem biorąc, z pominięciem zapewne licznych jeszcze wyjątków — żyją coraz bardziej z dochodów brutto i uważają sobie niejako za punkt honoru i rację stanu rzekomego interesu gospodarczego utrzymać rozmiar tych brutto dochodów na tym samym poziomie, a możliwie jeszcze go rozszerzyć, z coraz większą i widoczniejszą szkodą, wprost zanikiem czystych, prawdziwych zysków. Absurd oczywisty, bo przecież nie

po to się pracuje, aby imponować ludziom i tracić, ale chyba po to, żeby zarabiać, choćby... bez imponowania. Zdawałoby się, że rzecz to prosta, sama przez się w świecie gospodarczym zrozumiała, wprost banalna. A jednak dzieje się inaczej i jesteśmy świadkami coraz powszechniejszego na całym świecie absurdu. Odnosi się wrażenie, jak gdyby dawny, legendarny, trzeźwo kalkulujący ołówek kupiecki ustąpił miejsca pałeczce lekkomyślnego prestydygitatora.

Nieprawdą jest, jakoby dotąd jeszcze działały skutki wojny światowej, tak dotkliwie, jak to twierdzi jeszcze wielu. Być może, że tu i ówdzie — w jakiejś polityce celnej i t. p. — pewien ślad wielkiej wojny jeszcze pozostał. Pozostał na serji tylko w Rosji, o ile przewrót bolszewicki chcemy włączyć do dalszego ciągu wojny światowej. Ale, ogółem biorąc, wszędzie gdzieindziej chwilowy powojenny kryzys gospodarczy dawno się już skończył. Wszak polegał on na niedostatku produkcji wskutek jednostronnego jej nastawienia dla celów wojennych w jednych państwach, zniszczenia warsztatów produkcji w innych i ogólnego niedoboru zapasów światowych, rąk roboczych, środków komunikacyjnych, oraz zburzenia przedwojennego aparatu wymiany pieniężnej. O tem wszystkiem dzisiaj już mowy niema, a nawet wprost przeciwnie, świat cały cierpi na nadmiar tych wszystkich czynników, a zwłaszcza na nadmiar produkcji, z którą poszczególne państwa nie wiedzą, co robić. W niektórych chwycono się heroicznego środka, masowego niszczenia tego nadmiaru, w innych olbrzymie zapasy przepełniają magazyny, nie mogąc znaleźć zbytu nawet po dumpingowo niskiej cenie, gdy równocześnie obok miljony bezrobotnych cierpi nędzę, a tysiące umiera nawet z głodu. Eksport coraz bardziej się kurczy właśnie z powodu wzrastającego w każdem niemal państwie nadmiaru produkcji, oraz rosnących w każdem z nich pretensji do samowystarczalności. Ten pęd do samowystarczalności, usymbolizowany w słynnem haśle „patrjotyzmu gospo-

darczego", stworzył i stwarza we wszystkich państwach nadmiar warsztatów pracy i szaloną intensyfikację ich produkcji. Jasnem jest wobec tego, że suma możliwości eksportowych na całym świecie ciągle kurczyć się musi, co tembardziej potęguje katastrofę nadmiaru produkcji, rozpędzonej na skrzydłach coraz bardziej doskonalonego maszynizmu. A w naturalnej konsekwencji ruchomy kapitał światowy, reprezentowany w drobnej tylko części przez złoto, a w znacznie większej przez walory fikcyjne i obligi wszelkiego rodzaju, coraz mniej znajduje pola do prawdziwie produktywnej pracy, przestaje się rentować i zamraża się w sposób, coraz bardziej gniotący ludzkość i samo życie gospodarcze, coraz bardziej pasożytniczy i beznadziejny. A wraz z tem całem zabagnieniem położenia obfituje kronika życia gospodarczego coraz częściej w tak straszne nadużycia i skandale, jakie dawniej należały stosunkowo do rzadkości.

A to wszystko nie ma nic wspólnego z bezpośrednim niedostatkiem powojennym. To raczej specyficzny wytwór i rezultat prądów, pojęć i tendencji gospodarczych i społeczno-gospodarczych, jakie kształtowały się stopniowo od mniejwięcej epoki rewolucji francuskiej poprzez cały wiek XIX, aż do chwili obecnej, w czem kilkoletnia wojna światowa i pierwszych parę lat powojennych stanowiły tylko krótką przerwę i hamulec.

W takich warunkach, przy wzrastającej nadto proletaryzacji materjalnej ogółu społeczeństwa — która znowu ma swe specjalne przyczyny — świat gospodarczy trwa w dalszym ciągu, jakgdyby na nic nie zwracał uwagi, w swych po ojcach i dziadach odziedziczonym rozmachu do „ustawicznego rozwoju" i bogacenia się w nieskończoność. W tem się wyhodował, tą atmosferą przesiąkł, z tych pojęć — z gruntu nielogicznych — wytworzył sobie swą rację stanu, swój nietykalny, uświęcony „system ustabilizowany". A że kontynuacja i realizacja tych pojęć jest

w obecnych warunkach z wyżej wspomnianych względów już niemożliwą, bo kapitał i produkcja w dotychczasowym nadmiarze przestaje się opłacać, więc uparty konserwatyzm gospodarczej racji stanu opierać się zaczyna coraz więcej na fikcji dochodów brutto, z których lekkomyślnie żyje, nie zważając — a raczej nie chcąc zważać — na to, że zysk czysty staje się coraz bardziej aleatorycznym i że brnie się w coraz większe zadłużenie, paraliżujące nietylko życie gospodarcze, ale równocześnie także finanse państwa i siłę nabywczą ogółu konsumentów.

Samobójcza ideologja bogacenia się w nieskończoność i utrzymywania warsztatów produkcji à outrance w jaknajwiększych rozmiarach, ze zlekceważeniem oczywistych wymagań prawa podaży i popytu, ta jakaś z gruntu fałszywa ambicja podtrzymywania za wszelką cenę przedsiębiorstw, które już dawno straciły wszelką rację bytu, a przedewszystkiem nieszczęsne hasło „patrjotyzmu gospodarczego" (jakgdyby uczucie patrjotyczne mogło decydować o prawach ekonomicznych), to wszystko razem pogłębia z każdym rokiem ogólną katastrofę, z której w takich warunkach, przy takiem nastawieniu ideologji gospodarczej, rzeczywiście wyjścia nie widać.

Ciężką winę ponosi tu również ekonomja naukowa, stojąca świadomie, czy podświadomie, na usługach wszystkich powyższych absurdalnych teorji i fałszywych podniet gospodarczych. Ona to bowiem, z wielką erudycją, patosem i zarozumiałym autorytetem wmawia w sfery gospodarcze i w ludzi wogóle, że najwyższem, najrealniejszem doczesnem szczęściem człowieka jest bogacenie się w nieskończoność. Ona wyszukuje i poddaje w różnych swych systemach — od najbardziej prokapitalistycznych do bolszewickich — wszelakie prawidła i sposoby powiększania in infinitum materjalnego dobrobytu, nie wahając się na tej drodze przed zaleceniem nawet środków przymusowych. Co za nonsens — szczęście stwarzane przymusem! A jednak do tego zmierzają coraz bardziej wszystkie nau-

kowe doktryny ekonomiczne, bynajmniej nietylko socjalistyczne, gloryfikując usłużnie i wyolbrzymiając do niebywałych rozmiarów rolę urzędnika państwowego, jako cudotwórcę, który z batem w jednym ręku, a śrubą podatkową w drugiej, ma rzekomo podnosić dobrobyt społeczeństwa w nieskończoność.

To też wyhodowane w tej atmosferze sfery gospodarcze brną bezkrytycznie w teorji i praktyce „bezwzględnej konieczności“ rozwoju życia gospodarczego. Byle tylko salwować pozory tego rozwoju, byle tylko utrzymać na zewnątrz karciane gmachy swych warsztatów pracy w tradycyjnych rozmiarach, gotowe są na wszystko, nawet na coraz większą ingerencję państwa, na etatyzację, nawet na bankructwo, byle tylko nie wyznać sobie i światu — z ołówkiem w ręku — tej najoczywistej prawdy, że sklep i fabryka o tyle tylko mają rację bytu i w tych tylko rozmiarach, o ile są społeczeństwu — potrzebne! Wydaje się sferom gospodarczym, że takie wyznanie naruszyłoby ich odwieczny „system ustabilizowany“, popsuło ich żywotne interesy i wstrząsnęło każdem ich partykularnem podwórkiem. Nie widzą, bo nie chcą przejrzeć, że przecież pociągnięcie grobli według stawu, dostosowanie rozmiaru produkcji i handlu do istotnych możliwości zbytu, nietylko im nie zaszkodzi, ale wprost przeciwnie: redukując dochody brutto, a z nimi razem koszta i wszelakie świadczenia w odpowiedniej degresji, podniesie czyste zyski z przedsiębiorstw — z tych naturalnie, które są klienteli potrzebne, więc mają rację bytu.

Ale wrogiem ten światu gospodarczemu — a raczej jego ustabilizowanemu anachronizmowi — ktoby ośmielił się tę prawdę powiedzieć! I dlatego nadmiernie, ponad wszelką potrzebę rozwinięte życie gospodarcze — produkcja, handel i fikcyjny kapitał ruchomy — stają się coraz bardziej celem samym sobie, działającym nie dla korzyści społeczeństwa, ale wyraźnie na jego niekorzyść, na jego nieszczęście, tocząc je na kształt raka i wysysając

z niego resztki soków żywotnych, notabene na swą własną zgubę.

Bo jakże wygląda dzisiaj ta rzecz w praktyce? Przytoczymy przykład obrazowy, ale bardzo zbliżony do rzeczywistości.

Producent np. materjałów odzieżowych ofiaruje klientowi — zbiedzonemu ogólną pauperyzację — dostarczenie nowego ubrania. Klient odpowiada, że najchętniejby je sobie sprawił, ale nie ma pieniędzy. Wówczas producent, nie dopuszczając nawet myśli odpowiedniej redukcji rozmiaru swej fabryki do stwierdzonej możliwości nabywczej klienteli, ale gnany ambicją pdtrzymania jej „rozwoju w nieskończoność“ (bo go ojciec tak uczył i profesor i różni krzykliwi patrjoci), zwraca się o kredyt, czy inną jaką pomoc finansową do banków, a skoro te w danych warunkach nie są wstanie użyczyć mu jej w dostatecznej mierze, zwraca się do państwa w imię „ratunku gospodarstwa krajowego“. Państwo nie chce z początku o tem słyszeć, bo samo cierpi na brak pieniędzy i zdaje sobie sprawę, że śruby podatkowej niepodobna zaciskać w nieskończoność. Ale wówczas producent zagraża zamknięciem fabryki i bezrobociem. Wobec tej perspektywy zaognienia „kwestji socjalnej“ opór państwa mięknie i sypie się pomoc finansowa dla bezużytecznie rozdętego warsztatu produkcji. Pieniądze, utopione w studni, bo żaden kredyt, żadna pomoc finansowa nie zastąpi à la longue braku klienteli. Fabryka ta runie więc i tak, prędzej czy później, albo spadnie ciężarem na państwo pod zarządem przymusowym. Ale, co najgorsze, z czyjejże to kieszeni czerpie państwo owe środki na forsowne podtrzymanie nieżywotnej fabryki? Oczywiście z kieszeni owego biednego klienta, któremu podwyższa podatki. Tak więc klient w ostatecznym rezultacie musi i tak — drogą przez skarb państwa — zapłacić fabryce za ubranie, z tą tylko różnicą, że — nie ma tego ubrania!

Oto, co nazwaliśmy swego czasu na łamach tego pisma niejednokrotnie „dyktaturą produkcji“.

Nie jest ona oczywiście wynikiem jakiejś złośliwej premedytacji ze strony producenta — chociaż w sferach wielkiej produkcji i finansiery światowej taka premedytacja nieraz się okazuje — ale rezultatem owego, wyżej wspomnianego „systemu ustabilizowanego“ w psychice sfer gospodarczych, wychowanych od szeregu pokoleń na hasłach rzekomej konieczności rozwoju gospodarczego za wszelką cenę nawet za cenę własnego bankructwa w ostatecznym rezultacie.

Czy w takich warunkach, w takiem nastawieniu, które, pomijając szereg momentów ubocznych, jest główną, najistotniejszą przyczyną obecnej katastrofy gospodarczej, jest możliwem wybrnięcie z tego upadku drogą jakiejkolwiek techniki gospodarczej? Rzecz jasna, że nie jest możliwem. A dowodzą tego chyba już bezspornie fiaska wszelkich usiłowań międzynarodowych i bezskuteczność całego tego oceanu wysiłków, koncepcji, konferencji, prac naukowych i publicystyki gospodarczej, który od lat kilkunastu ciągle nas bez żadnego pozytywnego rezultatu zalewa.

Wprawdzie, jeśli chodzi o dziedzinę techniki gospodarczej, to od pewnego czasu daje się zauważyć coraz większa reakcja przeciw oczywistemu absurdowi dyktatury produkcji i teorji bogacenia się w nieskończoność. Prąd w kierunku celowego ograniczenia produkcji zaczyna się tu i ówdzie rodzić, gdzieniegdzie w sposób radykalny, niszczeniem nadmiaru produkcji, ale gdzieindziej już i w sposób celowy. Przykładem ostatnia międzynarodowa konferencja zbożowa w Londynie, która zaleciła pewne ograniczenie obszaru zasiewu pszenicy w poszczególnych państwach, Wielki wyłom w dotychczasowej ideologji sfer gospodarczych! Tak wielki i niebywały, że aż zabawny! Wszak pierwszy lepszy drobny sklepikarz na roku ulicy nie będzie „podtrzymywał“ sztucznie swego handelku, a tem mniej go rozwijał, gdy widzi, że klientela słabnie. Jest on zaiste prawdziwszym kupcem — w pełnem tego

słowa znaczeniu — niż ci różni wielcy, którzy chcą budować, podtrzymywać i „rozwijać“ swe przedsiębiorstwa... bez klienteli i mają pretensje potem do całego świata, że taki interes nie idzie!

W tych warunkach, wśród tak jednostronnego, zakostniałego w anachronicznym systemie nastawienia sfer gospodarczych, nic dziwnego, że dążenia ich do bezkresnego rozwoju produkcji i wymiany, oraz bezkresnego technicznego, masowego przyśpieszania tej produkcji i wymiany, płodzą wprost przeciwne rezultaty, bo i upadek gospodarczy i chroniczne bezrobocie i nieopłacalność inicjatywy, pracy i kapitału i wreszcie prądy, doktryny, rewolucje i systemy rządzenia nawskroś antygospodarcze. Wszak cała sprawa nienawiści i walki klasowej wraz z jej wykwitami w postaci etatyzmu z jednej, a socjalizmu i komunizmu z drugiej strony, są tylko logiczną, nieuchronną, organiczną reakcją, stworzoną stopniowo przez bezbrzeżną zachłanność i całą wogóle ideologję systemu ustabilizowanego sfer gospodarczych — przyczem wyrażenia „sfery gospodarcze“ używamy tu w najszerszem jego znaczeniu. W bezkrytycznem dążeniu do tego bezbrzeżnego bogacenia się za wszelką cenę, a więc w pogoni za nieziszczalną, ale niemniej rujnującą utopją, sprowadza ideologja sfer gospodarczych progresywną bolszewizację stosunków na całym świecie i to w stopniu daleko groźniejszym, daleko skuteczniej i głębiej sięgającym, niż są to wstanie czynić sami bolszewicy.

Ostatni więc czas, ostatnia niemal godzina, aby poważne sfery gospodarcze — w trzeźwem i głębszem zrozumieniu najżywotniejszych interesów życia gospodarczego i swej własnej racji stanu — zechciały zerwać z dotychczasowym swym systemem i nastawieniem i poddać gruntownej rewizji zarówno rozmiary i cele swych wszelakich warsztatów pracy, jak i swą „psychikę kupiecką“. Trzeba, rzecz chyba bezsporna, wyciągnąć jakąś praktyczną naukę z dwuwiekowego już mniejwięcej doświadczenia, a zwłasz-

cza z bardzo dotkliwego i pouczającego doświadczenia ostatnich lat kilkunastu i — pomijając narazie wszelkie szczegóły, które w następstwie łatwiej się już unormują — wytyczyć życiu gospodarczemu, jako całości, przedewszystkiem pewne zasadnicze, logiczne, niejako same przez się zrozumiałe reguły, określające właściwe, rozsądnie pomyślane cele i granice produkcji, wymiany i roli kapitału.

Są takie momenty dziejowe w różnych dziedzinach, kiedy rozpędzona myśl, namiętność i działalność ludzka musi wstrzymać się na chwilę i poddać się krytycznej refleksji, aby nie runąć w przepaść. Taki moment nastał obecnie dla życia gospodarczego, które musi zrewidować i zreorganizować swe fundamenty, jeżeli nie mają mu one runąć pod nogami. Panowie ze sfer gospodarczych! Rolnicy, przemysłowcy, kupcy, bankowcy, właściciele ruchomych kapitałów, jak również i wy, panowie uczeni w prawidłach ekonomji teoretycznej! Nie lekceważcie sprawy rewizji tych podstaw, a więc sprawy o charakterze ogólnym, zasadniczym, jako rzeczy rzekomo zbyt teoretycznej, zbyt ogólnikowej, a więc zbyt mało realnej w porównaniu do waszych codziennych, bezpośrednich „konkretnych“ spraw, potrzeb, interesów i wysiłków. Zechciejcie zrozumieć, że tragikomizm waszej sytuacji leży w tem właśnie, iż szukacie naprawy stosunków w nazbyt wielkiem rozpraszaniu się w owych codziennych, niby „konkretnych“ szczegółach i wskutek tego zbyt jednostronnie brniecie w coraz większy splot i impas fachowych, konjunkturalnych, drobnostkowych kwestji kredytowych, celnych, importowo-eksportowych, ulgowo-podatkowych i t. d. i t. d., które, razem wziąwszy, nie mogą wydać innego rezultatu, jak toczenie wciąż z rąk się wymykającej syzyfowej skały, lub konwulsyjnego napełniania bezdennej beczki danaid. Przecież jasnem jest już dzisiaj dla każdego objektywnego obserwatora, że takie nadmierne, tak jednostronne aferowanie się konjunkturalnymi szczegółikami doraźnych bolączek życia gospodarczego, przy niechęci

i pogardzie dla wszelkich zagadnień ogólnych, wytycznych, jest niczem innem, jak tylko kręceniem się muchy w ukropie. Jak wiadomo, takie kręcenie się na nic się nie zda i mucha zginie.

Zechcijcie więc rozumieć, że w danych, rzeczywistych warunkach, w jakie zabrnęło życie gospodarcze, owe, tak przez panów przesadnie cenione „konkretne“, fachowe szczegóły są właśnie niekonkretne, nierealne, utopijne, bo brak im — realnej podstawy ogólnej. Wysilacie się w pracy codziennej i w nieskończonych dyskusjach fachowych tak zupełnie, jakbyście chcieli siać najlepsze ziarno na kompletnie wyjałowionej, wprost nawet zatrutej roli. Przecież na takiej roli żadne ziarno nie jest wstanie dać plonu.

I daltego najrealniejszem, najpierwszem, najbardziej piekącem zadaniem jest dzisiaj właśnie to, co nadmiernie szczegółami zaabsorbowanym fachowcom gospodarczym najmniej realnem się wydaje, mianowicie ustalenie podstaw i celów ogólnych nowoczesnego gospodarstwa prywatnego — jeżeli to gospodarstwo ma istnieć wogóle. Dopóki to nie nastąpi, to najgenjalniejsze, najbardziej fachowe i „konkretne“ pomysły i pociągnięcia zarówno prywatnych sfer gospodarczych, jak i pomocy rządowej, pójdą na marne i pogorszą jeszcze stan rzeczy.

Ale przeprowadzenie pożądanej, koniecznej rewizji pojęć i celów w życiu gospodarczem drogą li tylko refleksji gospodarczej nie zdoła samo przez się jeszcze przełamać skutecznie starego ustabilizowanego systemu. Z pewnością rzadko kto wśród przedsiębiorców dałby się praktycznie przekonać, że nieżywotnie, nieużytecznie rozdęty warsztat pracy trzeba zmodyfikować, zredukować do wymagań prawa podaży i popytu, że pohamować trzeba w sobie ów atawistyczny pęd do bogacenia się w nieskończoność, aby w ten sposób wybrnąć z ciężkiego położenia i ustalić swój interes i swą stopę życiową na dochodach netto przedsiębiorstwa. Nie zrozumie tego, że trzeba to uczynić zawczasu, w możliwie dobrej jeszcze konjunkturze,

a nie wówczas dopiero, gdy bankructwo w postaci komornika, przymusowego zarządu lub licytacji staje w progu. Nie zrozumie i nie będzie nawet chciał zrozumieć, bo przecież wszystkie poszczególne przedsiębiorstwa gospodarcze odzwyczaiły się od wszelkiej kalkulacji na dalszą nieco metę i żyją nerwowo od jednej konjunkutry do drugiej. Nie oprze się więc producent przemysłowy czy rolny perspektywie możliwej lepszej, choćby tylko chwilowej i zwodniczej konjunktury. Nie zredukuje swego zagrożonego w podstawach warsztatu pracy i swych niemniej zagrożonych aspiracji do rozmiarów, mądrą, dalekowzroczną dyktowanych kalkulacją. Przecież — powie sobie — za pół roku, za rok, nastąpić może lepsza konjunktura dla mego towaru, otworzy się gdzieś zbyt, czy nawet eksport, a ja ze zmniejszonym warsztatem pracy nie będę wstanie tej konjunktury wykorzystać!

Otóż ta myśl właśnie, ta pokusa, ta ustawiczna nadzieja jakiejś świetlanej konjunktury, przybrana w blaski tęczy, jak bańka mydlana, paraliżuje wszelką rozumną refleksję, wszelki zdrowy rozsądek przedsiębiorców gospodarczych. Czytajmy choćby tylko sprawozdania dziennikarskie o „życiu gospodarczem". Co kwartał, jeżeli nie co miesiąc, nowe „perspektywy konjunkturalne", nowe wieści o „odprężeniu rynku", o płynniejszej rozprzedaży nagromadzonych zapasów produkcji, a zwłaszcza o „zwyżce cen", a wnet potem depresja materjalna i moralna, zawiedzione rachuby, klęska, bezrobocie, przymusowe redukcje i rozpaczliwe wołanie o interwencję etatyzmu.

Przecież rok za rokiem powtarza się ta sama tragikomedja, a sfery gospodarcze jeszcze zmądrzeć nie zdołały!

I dlatego doszliśmy do przekonania w praktyce — bo w zasadzie było to z dawna oczywistem — że argumenty czysto gospodarcze tu nie pomogą, ale że całym nowoczesnym światem zakostniałej ideologji gospodarczej, do cna zmaterjalizowanej i dlatego niezdolnej ani do autokrytyki, ani do skutecznego startu własnym intelektem w kierunku

trwałej naprawy, wstrząsnąć musi potężnie jakiś prąd, jakaś atorytatywna idea z poza dziedziny życia gospodarczego. Doszliśmy do tego praktycznego przekonania nie na podstawie jakiś rozważań filozoficznych, ale na podstawie uważnej obserwacji i analizy wypadków dnia i twierdzimy, że zabagnione materjalistyczną ideologją życie gospodarcze nie da się w żaden sposób podnieść i uzdrowić sposobami wyłącznie gospodarczymi.

*

*   *

W ciągu dyskusji nad całym tym problemem w łonie bliższego grona przyjaciół „Naszej Przyszłości“ padło raz pytanie ze strony pewnego wybitnego przedstawiciela sfery przemysłowo-handlowej i to człowieka z dużą erudycją, wykształconego zwłaszcza w kierunku historyczno-ekonomicznym: Dlaczego „Nasza Przyszłość“, w przeciwieństwie do różnych innych pism, traktujących o sprawach gospodarczych, potrąca ciągle strunę moralno-religijną, która przecież nic wspólnego nie ma ze sprawami ekonomicznemi? Po co ciągle mieszać te, tak odrębne dziedziny?

Otrzymał następującą odpowiedź:

Jest to właśnie kapitalną omyłką sfer gospodarczych, że niema związku między temi dziedzinami. Związek jest i to daleko ściślejszy, niż się to wydaje na pierwszy rzut oka ludziom, pochłoniętym całkowicie i nazbyt jednostronnie przez tak zwane trzeźwe interesy kupieckie. Bo bezsporną jest rzeczą, że w państwie, czy w społeczeństwie, czy wreszcie w sferze ludzi, gdzie panuje jeżeli już nawet nie wprost ateizm, ale conajmniej indeferentyzm religijny, gdzie więc pojęcie zadprzyrodzonego autorytetu i nieśmiertelności duszy, stworzonej na obraz i podobieństwo Boskie, nie wchodzi w rachubę wśród nawału codziennych, przyziemnych, widocznych i namacalnych interesów politycznych lub gospodarczych, tam, w naturalnej konsekwencji,

prawa i indywidualizm jednostki tracą na znaczeniu, jako nieznacznej komórki w wielkim organiźmie i łatwo bywają znegliżowane, potem podeptane na rzecz takiej czy innej zbiorowości, a więc etatyzmu, kapitalizmu państwowego, wreszcie kolektywu. Jednostka, jej szczęście, indywidualne aspiracje, nawet najsłuszniejsze, jej korzyść materjalna i moralna, jej twórczość — wszystko to pochłonięte zostaje przez koncepcję jakiegoś zbiorowego molocha, nieraz w sposób bezwzględny i brutalny. Ustrój takiego państwa i nastrój takiego społeczeństwa musi iść nieubłaganie na lewo, po linji coraz skrajniejszego radykalizmu i etatyzmu. Ten los dzieli tam również i życie gospodarcze.

Natomiast w państwie i społeczeństwie, gdzie przekonania religijne są mocne i dużą grają rolę, gdzie więc wiara w nieśmiertelność duszy i jej wyższych celów jest powszechnie uznana i jawnie wyznawana, tam indywidualizm jednostki i jej praw moralnych i materjalnych odpowiedniego doznaje poszanowania. Tam ustrój państwa i gospodarstwa nie pójdzie na lewo, w kierunku zmiażdżenia jednostki na rzecz zbiorowego molocha. Tam więc urządzenia i polityka gospodarcza dążyć będą, przynajmniej w ogólnej swej wypadkowej, po linji także i materjalnych korzyści jednostki, czyli gospodarstwa prywatnego.

Otóż tego ścisłego związku, tego wpływu wyższych momentów na „trzeźwe" interesy gospodarcze i całokształt życia gospodarczego, nie rozumie właśnie ogół ludzi gospodarczych. Nie rozumie zwłaszcza dzisiaj, że tu leży prawdziwy i jedynie możliwy start ku trwałej i realnej naprawie stosunków, j e d y n a s i ł a, k t ó r a n a s e r j o, s k u t e c z n i e m o ż e w y c i ą g n ą ć n a s z k a t a s t r o f y u p a d k u.

Bo upadek ten, jak wspomnieliśmy na wstępie, jest nietylko gospodarczy, ale równocześnie także moralny, kulturalny i społeczny. Te wszystkie strony „kryzysu" są tak nierozerwalnie ze sobą związane i współzależne, że napróżno siliłby się ktoś je rozdzielić i odrębnie traktować.

Upadek przekonań religijnych w ciągu XVIII-go stulecia, indyferentyzm, ateizm i inne ówczesne „wolnościowe“, t. j. antyreligijne prądy, usuwając Boga, jako niewidzialnego, a więc zapewne nierealnego, wskazały wyzwalającej się wówczas stopniowo z pod absolutystycznego ustroju ludzkości cele oczywiście przyziemne, dostrzegalne i namacalne, a wskutek tego i „realne“, a między nimi na czele: taniec dokoła złotego cielca. Stąd wyrosły podstawowe wytyczne nowoczesnej ekonomji i nowoczesnego życia gospodarczego: bezkresne bogacenie się i konieczność bezkresnego rozwoju gospodarczego za wszelką cenę. A że żadnego hamulca moralno-religijnego już nie było, skoro pojęcie Boga wyeliminowano z „trzeźwych“ poglądów gospodarczych, więc bezbrzeżny, bezkrytyczny rozmach produkcji, wymiany i kapitału ruszył naprzód, wprzągłszy w swój rydwan wszystko: państwa, rządy, ludy, twórczość ludzką, ekonomję naukową, technikę, politykę, dyplomację i stosunki socjalne i wreszcie psychikę jednostki, którą po swojemu zaczął urabiać w kierunku zasady konieczności ustawicznego, bezkresnego gospodarczego rozwoju.

Nie potrzeba kreślić dalszych następstw i dziejów tego kultu złotego cielca, bo skutki dziś widzimy, a te są decydujące. Wszak dzieło mistrza chwali, a fatalnymi mistrzami byli widocznie ci, którzy ongiś pchnęli ludzkość na te tory.

Trzeba z nich zawrócić, trzeba zdezawuować tych mistrzów i ich po dziś dzień istniejących adeptów, obalić rujnującą, pogańską fikcją złotego cielca, który okazał, że jest wprawdzie cielcem, bo niemądry wskazuje kierunk, ale bynajmniej nie jest złoty, bo nie bogaci ludzi, ale w coraz większą pogrąża ich nędzę i niedolę.

Uznanie tego oczywistego faktu i śmiałe wyznanie go właśnie na terenie życia gospodarczego jest pierwszym, realnym warunkiem skutecznej walki z panującą katastrofą i gospodarczym absurdem. Stanowczy zwrot do religji, do poddania się pojęciu nadrzędnego autorytetu, który właści-

we cele życia i pracy ludzkiej na ziemi jasno i wyraźnie wyznaczył i ustalenie na tym fundamencie pewnych żelaznych prawideł — oto od czego zacząć trzeba. Nie od jałowych i naprawdę już nudnych frazesów fachowo-gospodarczych, bo te nic już nowego nie są wstanie stworzyć — ale od tego. Słusznie nazwał to jeden z wybitnych współpracowników naszej szkoły „potrzebą nawrotu do średniowiecza", oczywiście w pewnem obrazowem tego pojęcia znaczeniu. Chodzi mianowicie o to, aby idei religijnej, która wówczas, mimo prymitywnej kultury i wszelkich ułomności ludzkich, całe życie jednak społeczne, polityczne i gospodarcze przenikała, wrócić odpowiednie stanowisko, biorąc oczywiście pod uwagę rzetelny postęp i modernizację dzisiejszych stosunków. A na początku zgodzić się trzeba na następujące, logicznie oczywiste, żelazne zasady:

1) Prawdziwe szczęście człowieka nie polega na bezkresnem ulepszaniu materjalnego dobrobytu, a stąd tendencja bogacenia się bez końca nie może stanowić wytycznej życia gospodarczego, ani fundamentu naukowej ekonomji.

2) Rozwój życia gospodarczego ponad pewną przeciętną normę dobrobytu jednostki jest wprawdzie rzeczą pożądaną, ale bynajmniej nie konieczną. Doktryny i tendencje, przeciwne tej zasadzie, są wręcz szkodliwe i, wbrew swym założeniom, sprowadzają w ostatecznym rezultacie nie bogactwo i szczęście, ale nędzę i niedolę.

3) Życie gospodarcze nie jest czemś oderwanem od egzystencji i potrzeb ogółu, nie może być celem samym w sobie, ale ma o tyle tylko rację bytu i rację rozwoju, o ile odpowiada rzeczywistym potrzebom społeczeństwa.

4) Życie gospodarcze i stopień jego rozwoju muszą się więc ściśle stosować do prawa podaży i popytu. Wszystko, co wykracza poza granice tego prawa, jest zbędne, nieżywotne, a nawet wprost szkodliwe.

5) W konsekwencji powyższych reguł sztuczne, forsowne podtrzymywanie i rozwijanie nieżywotnych — to jest prawem podaży i popytu w danych warunkach nieuza-

sadnionych — a stąd i zbędnych dla społeczeństwa przedsiębiorstw, produkcji i wymiany jest szkodliwem z punktu widzenia zarówno moralnego, jak materjalnego, a zwłaszcza państwowego, gdyż płodzić musi w praktycznym rezultacie stosunki amoralne i niepotrzebne obciążenie państwa i społeczeństwa.

6) Ponieważ nadmierny, bezkrytyczny i bezkresny rozwój gospodarczy, wspomagany sztucznym, ad hoc forsowanym rozwojem techniki maszynowej i metod pracy, wydał w ciągu półtorawiekowego doświadczenia bezspornie ujemne dla ludzkości rezultaty i sprowadza coraz widoczniejszy upadek ludzkości pod względem moralnym i materjalnym, przeto wskazanem jest, aby dalsza ewolucja życia gospodarczego zawróciła z dotychczasowej drogi i poszła w kierunku zmniejszenia ilościowego, a za to podnoszenia jakościowego produkcji, oraz środków i metod wymiany.

Ponieważ w praktyce nadmierny rozwój maszynizmu i związanego z nim, również nadmiernie rozwiniętego aparatu wymiany i pośrednictwa wszelkiego rodzaju, ciągnącego nieproporcjonalnie wysokie do swej roli i zasługi zyski, obciąża rynki i społeczeństwo coraz większą masą coraz gorszej jakościowo produkcji („tandety“), niszcząc wszelkie wyższe pojęcia wytwórczości ludzkiej i radość pracy, a płodząc przeciwnie nienawiść do niej i stąd radykalne idee wywrotowe, przeto dalszy rozwój ustroju gospodarczego powinien zwolna odchodzić od masowej produkcji maszynowej, a zbliżać się raczej do form i warunków rzemiosła.

8) Ogólnym fundamentem wszelkiej pracy gospodarczej nie może być w dalszym ciągu amoralna ideologja „wszechwładnego interesu“, jako rzekomo jedynego realnego w dziedzinie gospodarczej pojęcia — ale uznanie wyższych, ideowych celów życia i pracy ludzkiej, jako kwestji pierwszorzędnych i najbardziej realnych, wobec których zaspakajanie materjalnych potrzeb ludzkości odgrywać win-

no z natury rzeczy tylko uboczną i istotnym rozmiarem tych potrzeb ograniczoną rolę.

9) Przekonanie o nieśmiertelności duszy ludzkiej i o istnieniu nadrzędnego, nadprzyrodzonego autorytetu, dyktującego zarówno zasadnicze normy prawa moralnego, jak i prawa przyrody, jest jedynem możliwem wyjściem z materjalistycznego impasu, w jaki ludzkość brnie dotąd coraz bardziej i zarazem jedynym pewnym i korzystnym drogowskazem na przyszłość także i dla rozwoju stosunków społeczno-gospodarczych.



Poddajemy powyższe zasady rozwadze tych wszystkich, którzy je badać zechcą, ale badać bezstronnie i uczciwie, bez uprzedzeń i zakostnienia w dotychczasowym „ustabilizowanym systemie“ norm i pojęć życia gospodarczego, a zato na zasadzie przedewszystkiem trzeźwej obserwacji rzeczywistych stosunków. Niechże, chcąc z nami polemizować, nie nadużywają do tej polemiki ślepej wiary w różnych mistrzów — fachowców w praktycznej, czy teoretycznej dziedzinie gospodarczej. Bo bezkrytyczne przysięganie na słowa mistrzów trąci mocno myszką scholastycyzmu i rutynerji i bywa dla zdrowej ewolucji stosunków bardzo nieraz hamującem i szkodliwem. Nam zaś cytowanie różnych patentowanych autorytetów samo przez się bynajmniej nie imponuje. Chodzi o rzecz, a nie o słowa mędrców — zwłaszcza mędrców w zakresie materjalistycznego pojmowanego interesu — gdyż mogą być oni wielkimi fachowcami w jakiejś szczegółowej dziedzinie gospodarczej, np. walutowej, technicznej, kredytowej, bankowej, czy innej, ale mogą tembardziej właśnie nie wyczuwać całości stosunków, nie orjentować się głębiej w pulsie życia i w tem, czego ono, nawet pod względem materjalnym, najbardziej potrzebuje. Mogą być znakomitymi specjalistami w djagnozie poszczególnych symptomów panującej

choroby społeczno-gospodarczej, ale bardzo niedostatecznymi fachowcami na polu ogólnej, prawdziwie skutecznej terapji. A przecież właśnie o taką terapję i skuteczną kurację nam chodzi, bo wszelakie symptomy choroby znamy już doskonale we wszystkich szczegółach i słyszymy o nich wciąż, aż — do znudzenia.

A teraz — jakże praktycznie wyobrazić sobie wyżej zalecony zwrot i zastosowanie powyższych reguł w „trzeźwem", codziennem życiu gospodarczem?

Niepodobna oczywiście w wąskich ramach niniejszego sprawozdania dać na tak rozległe zagadnienie wszechstronnie wyczerpującej odpowiedzi. Wszak już samo dokładniejsze uzasadnienie wyżej wymienionych dziewięciu żelaznych zasad gospodarczych — z których w dalszej konsekwencji szereg innych jeszcze, szczegółowych wniosków wynika — wymagałoby napisania obszernej książki. A cóż dopiero wyliczenie wszelkich możliwości i warunków praktycznego wprowadzenia tych zasad w życie codzienne! Dlatego narazie ograniczamy się tylko do ustalenia samych zasad podstawowych i do wskazania pewnego startu, świadomi dobrze oczywistej okoliczności, że szczegółowe warunki zastosowania ich będą w każdem przedsiębiorstwie mniej lub więcej odmienne.

A więc chodzi przedewszystkiem o zasadniczą zmianę nastawienia do roli życia gospodarczego i jego celów — o zmianę psychiki i woli. Bo na początku wszelkich poczynań ludzkich musi być wola, nastawiona w jakimś określonym kierunku. Bez tego wszelkie skuteczne działanie jest niemożliwe. Gdyby więc niniejsze nasze wywody, kulminujące w owych dziewięciu punktach, zostały powszechnie uznane, a choćby nawet tylko stały się ogniskiem poważnej dyskusji, to już byłoby to niezmiernie korzystnym symptomem dokonywującego się zwrotu i krystalizowania się woli, tendencji, nastawienia w pożądanym kierunku. A to właśnie rzecz najtrudniejsza, o znaczeniu kapitalnem,

decydującem, bo za tem pójdzie już niemal automatycznie realizacja nowych zasad w praktyce różnemi drogami, których zgóry niepodobna wszystkich wyliczyć, ani nawet przewidzieć.

Jedną tylko praktyczną, a zarazem generalną dyrektywą pierwszego startu możemy tu podać i to tę samą, którą wysunęliśmy na czoło niniejszego sprawozdania: niechże każdy człowiek, pracujący na polu gospodarczem, lub mający wpływ na nie, zastanowi się dobrze — biorąc także przyszłość swego warsztatu pod rozwagę — nad następującemi dwoma, czysto praktycznemi kwestjami:

1) czy jego warsztat pracy jest w danych, konkretnych warunkach dzisiejszego państwa polskiego — pomijając jakieś przejściowe zmiany konjunktur—dobrze ugruntowany na rzeczywistej potrzebie i możności nabywczej społeczeństwa?

2) w razie dodatniej odpowiedzi, niech zastanowi się, w jakich granicach i rozmiarach prowadzenie danego przedsiębiorstwa rokuje mu możliwie największe i najtrwalsze dochody netto?

Stawiając sobie te dwa pytania, musi człowiek gospodarczy zerwać stanowczo z wszelką racją swego dotąd „ustabilizowanego systemu“, z wszelką tradycją, gospodarczą ambicją i snobizmem podtrzymywania à outrance swej dotychczasowej stopy życiowej. Bo z całym tym balastem żadna reforma nie jest możliwa. Świadomi jesteśmy tego, jaki przełom w psychice danej jednostki musi się w takim wypadku dokonać, zwłaszcza u tych wszystkich, którzy żyją dłuższemi wspomnieniami dawnych „lepszych czasów“. Ale, jeżeli ma być na serjo start w kierunku uzdrowienia stosunków, to nie widzimy innego sposobu. A w takiej decyzji, nieraz i heroicznej, ze strony jednostki leżeć będzie nietylko praktyczny rozum kupiecki, ale równocześnie już i zalążek pewnej moralnej idei. Bo podtrzymywanie nieżywotnych, niepotrzebnych, albo nadmier-

nie rozdętych warsztatów gospodarczych jest tendencją niemoralną, płodzącą tylko złe skutki pod każdym względem — jest materjalistycznym poganizmem na służbie złotego cielca.

Oczywiście, ewolucja ta w kierunku zdrowej idei gospodarczej i zarazem zdrowej idei moralnej, redukująca lub przystosowująca rozmiary życia gospodarczego do rzeczywistych potrzeb konsumcji, a więc do wymagań prawa podaży i popytu, nie może odbyć się nagle. Nie można żądać rewolucji, ani żadnych wogóle wstrząsów. Dość już wstrząsów i niedoli wywołała ideologja bezwzględnej konieczności rozwoju gospodarczego. Niechże ich przeciwna idea nie wywołuje. Rzecz w tem właśnie, aby lepiej stojące warsztaty pracy dostosowały się do rozumnych przewidywań co do swej racji bytu i racjonalnych rozmiarów zawczasu, gdy bezpośrednia ruina im jeszcze nie grozi, a stopniowo, tak, aby wyżej wskazane, pożądane odchylenie od systemu nadmiernej produkcji i nadmiernego maszynizmu w kierunku systemu raczej rzemieślniczego następywało zwolna, drogą niejako organiczną. Bo nietrudno zrozumieć, że już bankrutujące warsztaty pracy, noszące stygmat nieuchronnej śmierci na sobie i wyrzucające na bruk tysiące bezrobotnych, nie są wogóle wstanie żadnej zdrowej reformy przeprowadzić, jak nie jest wstanie podjąć się jakiegokolwiek większego dzieła, na dłuższą zamierzonego metę, suchotnik w ostatniem stadjum swej choroby.

Nie do bankrutów zwracamy się więc z niniejszym apelem, ale do ludzi, którym się jeszcze względnie dobrze powodzi, którzy mają czas pomyśleć o zmianie swej psychiki gospodarczej i o wdrożeniu jakiejś stopniowej reformy. Niech ci, gospodarczo zdrowi jeszcze ludzie, nie dadzą prowadzić się na manowce fałszywą maksymą bezkrytycznego materjalizmu, że nadmierny rozwój maszynizmu zahamować się nie da, że jest nieuchronny, potrzebny, nawet konieczny, a z nim razem i bezgraniczny rozwój gospodarczy!

To nieprawda! To tylko perfidna propaganda amoralnej ideologji „wszechwładnego interesu“, który widocznie już i namacalnie dla każdego nieuprzedzonego obserwatora pcha ludzkość nie do góry, w kierunku głoszonego rozwoju i dobrobytu, lecz wprost przeciwnie — w kierunku impasu, gospodarczego absurdu, nędzy i coraz większego upadku kultury.

OGRANICZENIE PRAWA WŁASNOŚCI W POLSKIEJ USTAWIE ZASADNICZEJ.

Prof. dr. Tadeusz Hilarowicz w swym głębokim artykule w „Czasie“ krakowskim, w którym poruszył stosunek konserwatyzmu do postępu, poczynił nader ciekawe uwagi, które możnaby skierować również do projektu konstytucji, opublikowanego w „Naszej Przyszłości“. Liczne projekty konstytucji w Polsce wyglądają, jak istna silva rerum. Jak powinien wyglądać realny projekt partji [1]), dotyczący w ustawie zasadniczej prawa własności? Pozwolę sobie tu obszerniej rozprowadzić myśli, rzucone przemnie w dyskusji na jednym z obiadów „Koła Przyjaciół Naszej Przyszłości“, poświęconym właśnie obronie prawa własności.

Prawo rzymskie widzi w prawie własności nieograniczone władztwo osoby nad przedmiotami. Słynny prof. prawa administracyjnego, Herrnritt, uwzględnia następujące wkroczenia prawno-publiczne w dziedzinę prawa własności: 1) akty wyższej konieczności — decyduje przy nich stan faktyczny bez podstawy prawnej, 2) wkroczenia o charakterze policyjnym w najszerszem tego słowa znaczeniu, 3) służebności ustawowe (tak in patiendo, jak i in non faciendo), 4) wywłaszczenie. Prof. Hilarowicz ma najzupełniejszą rację, że z tym stanem teorji i praktyki prawnej w XX-tym wieku konserwatyzm musi się liczyć. Musi on raczej uznać zasadę „oddania podwieczorku dla ocalenia kolacji“, niż r z u c a ć s k r o m n e g a ł ą z k i p o d r o z p ę d z o n e a u t o p o s t ę p u, jako protest, rzucony niby na stracony szaniec.

---

[1]) Nasza Przyszłość i Koło jej zwolenników nie tworzą żadnej partji! (Przyp. Red.)

Szaniec zaś konserwatyzmu bynajmniej nie przepadnie, jeśli dostosuje się do fundamentów konjunktury. Gdyby ruch zachowawczy był tylko hamulcem, jużby znaczną odegrał rolę. Ale może on nadal żywić najgórniejsze ambicje i plany, dotyczące zasad i ich realizacji—nie powinien tylko krzepnąć aż do skostnienia i nie powinien być nie mangeable. Niemożna dziś w całości negować zdobyczy socjalnych i odnośnego ustawodawstwa, niemożna też stanu z przed lat wielkiej wojny uważać za spetryfikowaną doskonałość. Jeśli jednak chcemy, żeby na przyszłą wypadkową złożył się też konserwatyzm, to musimy uczynić go życiowym, nie muzealnym. Bez wątpienia, mając przed sobą do wyboru dwie teorje, a to: uznającą z jednej strony wywłaszczenie (które jest konstytutywnym aktem administracyjnym) za quasi-delikt i uznającą je — z drugiej strony — za quasi-kontrakt, wypowiadam się, jako konserwatysta, za tą teorją quasi-deliktu. Nie mogę jednak, pisząc de lege ferenda, postulować dziś takich zmian, któreby — wbrew duchowi czasu najzupełniej — bulwersowały nawet stan prawny de lege lata. Musimy pamiętać, że pojęcie wywłaszczenia (w skład którego wchodzą momenty: odszkodowania, bez — i pośredniości, interesu publicznego, kreacji nowych praw), sformułowane w art. 99 naszej Konstytucji, oparte jest na wzorach i podstawowych źródłach prawnych zgoła konserwatywnych, bo z czasów zaborów, a to: 1) dla byłej dzielnicy pruskiej ustawa z 19 listopada 1874 r., dotycząca nieruchomości (a więc ściśle wedle dawnych teorji wywłaszczeniowych), przyczem, wedle ścisłej interpretacji prof. Pazdry, wymóg formalny zarządzenia dawniej monarszego, dziś Rady Ministrów, wsparty jest dwoma materjalnymi, a to interesu publicznego i konieczności wywłaszczenia, 2) dla byłej dzielnicy austrjackiej — poświęcony wywłaszczeniu § 365 powszechnej księgi ustaw cywilnych, który opiewa: „Jeżeli dobro powszechne tego

wymaga, musi członek odstąpić nawet zupełną własność rzeczy za stosownem odszkodowaniem". To jest postanowienie przepisu prawnego austrjackiego z r. 1811-go. Idźmy dalej: austrj. ustawa zasadnicza o powszechnych prawach obywateli państwa z 21 grudnia 1867 r. mówi w art. 5: „Własność jest nietykalną. Wywłaszczenie wbrew woli właściciela może mieć miejsce tylko w wypadkach i sposobie, ustawą określonych". A zaś austrjacka kolejowa ustawa ekspropriacyjna z dn. 18 lutego 1878 r. była podstawą do stosowania z niej analogji w przypadkach ustawą nieunormowanych — i to według orzecznictwa austrj. Trybunału Administracyjnego (Oberverwaltungsgerichtshof). Postanowienia wywłaszczeniowe dekretu Naczelnika Państwa z 7 lutego 1919 r. dla b. dzielnicy rosyjskiej i rozporządzenia Prezydenta Rzplitej z dnia 22 kwietnia 1927 r. o rozbudowie miast (Dz. Ust. poz. 372), z powołaniem się na analogję cyt. ustawy kolejowej w okręgach sądów apelacyjnych we Lwowie i w Krakowie, dają zbyt wyraźne stanowisko ustawodawcy, wzmocnione pozatem przez kolejny rozwój odnośnego prawa, by konserwatyzm mógł tuszyć sobie zupełną niwelację wywłaszczenia.

Wobec powyższego uznać należy, iż, aczkolwiek interwencjonizm i — zwłaszcza nieumiarkowany — etatyzm są pojęciami, przeciwko którym konserwatyzm powinien wysuwać swą rolę wydatnego hamulca, brzmienie art. 99 naszej Konstytucji powinno być w nowej, przyszłej Konstytucji zachowane w swej integralnej formie: „Rzplita Polska uznaje wszelką własność — jako jedną z najważniejszych podstaw ustroju społecznego i porządku prawnego — a dopuszcza tylko w wypadkach, ustawą przewidzianych, zniesienie lub ograniczenie własności, czy to osobistej, czy to zbiorowej, ze względów wyższej użyteczności za odszkodowaniem. Tylko ustawa może postanowić, jakie dobra i w jakim zakresie ze względów na pożytek ogółu mają stanowić wyłącznie własność Państwa, oraz o ile prawa oby-

wateli i ich prawnie uznanych związków do swobodnego użytkowania ziemi, wód, minerałów i innych skarbów przyrody, mogą ze względów publicznych doznać ograniczenia". Z odpowiednich zestawień widzimy, że postanowienia naszej ustawy zasadniczej są znacznie dla własności liberalniejsze, niż omnipotencyjno-etatystyczne ustawy jugosłowiańskiej lub niebezpieczny art. 109 ust. 2 Konstytucji Czechosłowacji.

Co innego postanowienia, dotyczące reformy rolnej. Te mogłyby z pożytkiem dla państwa ulec zmianie w duchu wyraźnie zachowawczym.

Jerzy Pogonowski

Powyższy, fachowy przyczynek p. D-ra Pogonowskiego do naszej dyskusji ustrojowej, w której zasada prawa własności prywatnej odgrywa — jak czytelnikom dobrze wiadomo — główną rolę, daje nam znowu okazję, a nawet więcej, bo nakłada na nas wprost obowiązek wobec czytelników podniesienia i zaakcentowania raz jeszcze tej sprawy w ogólnym przynajmniej zarysie. Ale bo też właśnie o ogólną podstawę chodzi tu przedewszystkiem, a mniej o szczegóły.

W kwestjach, tak niezmiernie doniosłych, do jakich bezsprzecznie zaliczyć trzeba zajmowanie pewnego stanowiska wobec prawa własności prywatnej dzisiaj, w pełni XX-go wieku, należy kierować się przedewszystkiem starą, ale zawsze aktualną i chyba niewątpliwie słuszną zasadą: quidquid agis, prudenter age et respice finem! Tak, respice finem — zastanów się dobrze, możliwie objektywnie, nad ostatecznym rezultatem, jaki twoje działanie na dłuższą metę wywołać może. Bo jakże często najlepsze chęci, wytężane w pewnym kierunku, całkiem odmienne od zamie-

rzonych wydają owoce, jeżeli chęci te i zamierzenia znegliżowały powyższą łacińską, tak mądrą życiowo zasadę!

Mówiąc więc, w dzisiejszych zwłaszcza stosunkach, o prawie własności prywatnej, trzeba bezwzględnie mieć przedewszystkiem na oku nietylko różne kodeksy i fachowe, uczone dzieła z zakresu nauki prawa, ale przedewszystkiem ostateczny, praktyczny rezultat, jaki w umysłach danego społeczeństwa i w ewolucji ustrojowej danego państwa wywołać może z biegiem czasu propagowanie pewnych zasad. Trzeba zwłaszcza mieć się ciągle na baczności, czy obstawając przy pewnych twierdzeniach, choćby nawet powszechnie na dzisiejszym, chwilowym stopniu oficjalnej nauki uznawanych, nie leje się mimowoli wody na młyn doktryn wywrotowych.

Bezpośredni bowiem rozmach wywrotu, jaki nastąpił po wojnie światowej, już minął i wszelkie kategorje doktrynerów moralnego, czy społeczno-politycznego, czy społeczno-gospodarczego wywrotu zrezygnowały już na ogół z gwałtownej, bezpośredniej propagandy. Zrozumiały, że w państwach cywilizowanych, mimo wszelkich, zachodzących w nich zmagań i zmian ustrojowych, ugruntowany, ustabilizowany wielowiekowym rozwojem ład i porządek cywilizacyjny nie da się obalić za jednym zamachem. I dlatego stosują teraz system progresywnego oddziaływania pośrednimi wpływami, których celem jest różne zasady moralności, ładu społecznego i kultury zwolna, stopniowo podważać w imię już nie rewolucji, ale t. zw. ewolucji.

To ostatnie pojęcie — w tym wypadku nadużyte — daleko strawniejszem wydaje się dla najspokojniejszych, najbardziej nawet konserwatywnych umysłów od jaskrawo-radykalnych zapędów, które wywołują odrazę i opór w umiarkowańszych sferach. Stąd powstaje groźne niebezpieczeństwo, daleko groźniejsze i trudniejsze do zwalczenia od jawnych haseł wywrotowych, że mianowicie powolna infiltracja zasad wywrotowych, zastrzykiwanych

w dozach homeopatycznych pod hasłem spokojnej, niby naturalnej ewolucji (panta rei), wpływa na umysły i pióra w kierunku, ostatecznie pożądanym dla idei wywrotu. Dotyczy to zwłaszcza stopniowego poddania jednostki i jej zdolności twórczych w niewolę rzekomo jakiejś zbiorowości, a praktycznie biorąc, w niewolę takiej czy innej kliki.

Pozostają więc wobec tego dwie drogi: albo poddawać się, świadomie lub mniej świadomie, tym wpływom, uznać naogół podstępną maksymę panta rei (wszystko płynie) także i w zastosowaniu do podstawowych zasad moralnych i cywilizacyjnych i ograniczyć się tylko do owego „rzucania skromnych gałązek pod rozpędzone auto postępu", o czem autor powyższego artykułu wspomina — albo ujawnić publicznie cały rozmiar niebezpieczeństwa tych wpływów i przeciwstawić się im kategorycznie, bez ustępstw i bez pardonu.

Ustrój państwa podobny jest dosłownie do wagi. Waga, jak wiadomo, składa się z dwóch szal, prawej i lewej, oraz wskazówki, czyli języka u wagi. Rolę tej wskazówki pełni rząd, a na obu szalach uczepiają się przekonania i tendencje różnych sfer społeczeństwa i starają się przeważyć na swoją stronę.

Otóż w Polsce, jak wszędzie na świecie, do lewej szali uczepione są miljony ze wszystkich warstw obywatelskich i starają się ją ku stronie coraz większego radykalizmu przechylić. Rząd, choćby najenergiczniejszy i najmniej od szerokich mas zależny, może wprawdzie opóźniać w większym lub mniejszym stopniu to chylenie się ustroju państwa na lewo, ale jeżeli à la longue na prawej szali żadnej zdecydowanej przeciwwagi nie widzi, jeżeli zmiarkuje przez czas dłuższy, że całe społeczeństwo ma mniej więcej lewicowe tendencje, to i on zwolna grawitować musi na lewo, bo ostatecznie nie może stale rządzić przeciw całej opinji publicznej.

Natomiast najmniejsza, ale całkiem zdecydowana, bezkompromisowa przeciwwaga na prawej szali opinji publicznej może już doniosłe wydać rezultaty: raz, samym faktem napiętnowania przez elitę społeczną i kulturalną pojęć lewicowych, jako wywrotowych i szkodliwych, powtóre dodaniem rządowi pewnego przynajmniej oparcia w przeciwstawianiu się radykalizmowi.

Otóż wielu jest konserwatystów dużej erudycji i najlepszej woli, którzy tej oczywistej sytuacji i zadania swego nie rozumieją. Autor powyższego artykułu trafnie oddaje obawę, że jeżeli nie pójdą za prądem „postępu" — a więc za sugerowanem im przez dzisiejszą atmosferę pojęć przekonaniem o płynności ewolucyjnej wszelkich zasad podstawowych — to konserwatyzm nie będzie miał wpływu na kształtowanie się linji wypadkowej tego postępu, ale pozostanie zabytkiem muzealnym.

Obawa całkiem fałszywa i pojęcie o właściwej roli konserwatyzmu — jako roli szczupłej narazie elity trzeźwo myślącego intelektu w morzu postępowego radykalizmu — też całkiem błędne! Każdy bowiem światopogląd ma wówczas tylko rację bytu na świecie, jeżeli staje na swej właściwej platformie i swą specyficzną, integralną odgrywa rolę. Wszelki zaś prąd czy światopogląd, choćby największe dzierżył atuty i walory, jeżeli zejdzie z tej platformy i zacz- z przeciwnikami pertraktować, a nawet dodawać kompromisowo swe trzy grosze do wzmacniania przeciwnika, skazany jest bezapelacyjnie na stopniową utratę wszystkich swych walorów i pozycji i zniżenie się do roli bezsilnego manekina w potężnem, celowo działającem ręku przeciwników.

Konserwatysta więc, który mocno, niezachwianie, integralnie zaważy na prawej szali wagi państwowej, nie będzie bynajmniej bezsilną gałązką, rzuconą pod walec żelazny, ale conajmniej nieusuwalnym cierniem w sumieniu tych wszystkich, którzy w postępowym zapale idą na lep

doktryn radykalistycznych i wywrotowych. Każda ustawa, każdy zwyczaj lub norma, które staną się chwilowo obowiązujące wskutek przewagi siły liczebnej, czy innej, jaka je do życia powoła, będą miały zgóry wszczepione piętno nadużycia i zarodek upadku, jeżeli intelekt konserwatywny elity społecznej śmiało i wyraźnie określi je, jako zgubne dla państwa lub moralnie niegodziwe. Gdy natomiast elita godzić się będzie wciąż na zasadę „niezbędnego“ postępu i autorytetem swego słowa i pióra wzmacniać jeszcze zdobycze radykalizmu i wywrotu, to jakaż jej rola? — dokąd dojdziemy w pochodzie na lewo? — dokąd dojdzie ustrój państwa i owa „linja wypadkowa“ ciągłego postępu, do którego konserwatyzm ma usłużnie, z rezygnacji, czy ze strachu, rękę przyłożyć?!

Nie — zdaniem naszem rzecz ma się wprost odwrotnie, jak sądzi szanowny autor i wraz z nim wielu, bardzo wielu dzisiejszych konserwatystyów, uczonych, polityków, ekonomistów i t. p. Kompromis jest niekiedy rzeczą dopuszczalną w starciach parlamentarnych lub w grze dyplomatycznej, ale przenigdy, jeżeli chodzi o podstawowe zasady, o rację bytu danego światopoglądu. Bo wówczas dany światopogląd już nim być przestaje i zamienia się w football, który każdy kopać może w dowolnym, chwilową konjunkturą wskazanym kierunku.

Każdy wie w Polsce doskonale, że konserwatyzm jest bardzo nieliczny, że ani władzy nie dzierży, ani wpływu nie ma na masy. Każdy, praktycznie myślący człowiek zgodzi się z tem również, że jakaś bardzo uczona, na skomplikowanej, niedostępnej dla ogółu djalektyce skonstruowana rozprawa, pełna subtelnych argumentów i restrykcji, żadnego nie wywoła wrażenia poza minimalnem kółkiem bezsilnych erudytów-specjalistów i pokryje się wnet po wydaniu pyłem bibljotecznym. Każdy zgodzi się również na uznanie oczywistego faktu, że w dzisiejszej epoce chronicznego kryzysu konserwatywny kapitalizm nie może choćby

nawet tylko środkami materjalnymi zaważyć na serjo na owej prawej szali równowagi państwowej. A w tak smutnej ze wszech punktów widzenia sytuacji czemże może konserwatyzm przysłużyć się państwu, czem wywrzeć w pewnym choćby tylko stopniu wpływ na kształtowanie się opinji publicznej, na formowanie się owej linji wypadkowej, o której autor wspomina? Przecież w pierwszym rzędzie bardzo mocnem, niewzruszonem zdaniem i podtrzymaniem zasad, na których się opiera.

Bo te zasady są wieczne, a w każdym razie winny być przez konserwatystów traktowane sub specie aeternitatis, jako podstawy moralności, porządku, ustroju rodzinnego i głębszej zachęty dla twórczości człowieka. Bez tego nie wyobrażamy sobie nawet, jakiemi drogami, jaką logiką może konstruktywny konserwatyzm kierować się, rozumować i działać? A do tych niewzruszonych zasad, nie ulegających zasadniczo ewolucji, należy prawo własności prywatnej. Zejdziemy choć na pół kroku w bok z tej linji, a nawet się nie spostrzeżemy, jak mimowoli pełnić zaczniemy rozkazy radykalizmu i to coraz czerwieńszego radykalizmu. Będziemy wyręczać go, nawet zwalczając go ogólnie, w wykonaniu jego zamierzeń. Radykalizm, wygodnie rozparty na fotelu, przyglądać się będzie z ironją, jak my, konserwatyści, orzemy grunt pod jego zasiew.

Z argumentacji fachowej szanownego autora, że przecież nawet w przedwojenenm ustawodawstwie państw zaborczych, czy innych, prawo własności prywatnej było już w takim a takim stopniu ograniczone, wynika dla nas wniosek, wprost przeciwny: że trzeba ustrój Polski z tego możliwie wyleczyć, prawo własności silniej obwarować. Bo w owych czasach, gdzie socjalizm był słaby, a bolszewizmu wogóle nie było, mogło sobie ustawodawstwo pozwolić na nadkruszanie tu i ówdzie nazbyt może silnie rozwiniętego, często nawet aż przesadzonego i nadużywanego pojęcia własności. Ale dzisiaj, gdy pojęcie to prawie wszędzie na

świecie niebezpiecznie zostało podeptane, gdy sąsiadujemy szczególnie z dwoma potężnymi organizmami, w których upaństwowienie jednostki dochodzi już do absurdu, gdzie nawet drukowane słowo staje się coraz wyłączniejszym monopolem państwowego kolektywu, gdzie najskromniejsze tendencje do indywidualizmu i ochrony resztek prawa własności więzieniem lub nawet śmiercią są karane — w takich warunkach dalsze kruszenie prawa własności w imię jakiejś strachem dyktowanej lub wpływem radykalizmu fingowanej ewolucji może być tylko dopomaganiem złemu. Kompromis z takiem złem ze strony wyznawców prawa własności żadnych dodatnich nie wyda rezultatów — absolutnie żadnych. Zachęci tylko jeszcze wywrotowców i radykalnych postępowiczów w lekkomyślnem kruszeniu do reszty tego wszystkiego, co warunkuje twórczość i godność jednostki ludzkiej. A jeżeli nauka, w pogoni za popularnością, czy w obawie przed sądem jakiejś (chyba zbolszewiczałej) historji, temu rozkładowemu procesowi oportunistycznie dopomoże, to złą, bardzo złą odda ludzkości przysługę. Zresztą jesteśmy pewni, że w każdym razie nie cała fachowa wiedza prawnicza, czy ekonomiczna pójdzie za tym prądem.

Na koniec niesprawiedliwem byłoby mniemanie, jakoby w kwestjach prawa własności prywatnej fachowa wiedze prawnicza mogła być — choćby nawet tylko moralnie — najwyższym, najbardziej miarodajnym trybunałem. Może takiego stanowiska żądać dla siebie np. fachowy matematyk wobec laika. Może dlatego, że wyższa matematyka nie ma bezpośredniego wpływu na życie codzienne. Może ktoś bardzo być wykształconym i użytecznym obywatelem, nie znając wcale rachunku różniczkowego i całkowego. Można rządzić majątkiem, fabryką, nawet państwem, nie znając metod obliczania drogi ciał niebieskich. Tu więc laik musi z pokorą zdać się na wyrok fachowej wiedzy. Całkiem inaczej ma się rzecz z takimi problema-

mi, jak prawo własności, które odbijają się aż nadto dotkliwie na życiu, pracy i zarobku każdego człowieka. Tu niejeden niefachowy, ale tylko przeciętnie inteligentny obywatel, pracujący na polu gospodarczem, gdzie ma zaangażowane całą swoją egzystencję i majątek, gdzie w długiem, praktycznem doświadczeniu życiowem odczuwa nieraz boleśnie wszelkie fluktacje pojęć i przepisów, dotyczących prawa własności, może zaiste daleko więcej i trafniej w tym przedmiocie coś powiedzieć, niż prawnik-teoretyk, który właściwie tylko na podstawie książkowej podchodzi do tego problemu, a nie miał możności praktycznego nabyć doświadczenia. Tu więc wiedza naukowa stanowczo nie wystarcza, ale z natury rzeczy musi dopuścić do poważnego głosu także czynnik praktyczny, życiowy.

A nadto, w mocnem naszem przekonaniu, musi ze względu na samą istotę sprawy, oddać pierwszy głos Religji. Bo kwestja prawa własności, w jego głębszem ujęciu i w perspektywie skutków na daleką przyszłość, to już wcale nie szczegółowa rzecz fachowo-prawnicza, która raz tak, drugi raz inaczej może być formułowana, zależnie od chwilowego prądu wiedzy w danym okresie. To nie wypadkowa orzeczeń najwyższych sądów, uchwał parlamentów i dzieł różnych uczonych. To przecież jedna z najważniejszych, niejako organicznych podstaw natury i działalności ludzkiej, w której braku człowiek zamienia się praktycznie na zwierzę lub bezmyślną maszynę. To fundamentalny problem, wynikły z praw Boskich i praw przyrody — co w naszem rozumieniu jest równoznacznem — który zadecyduje o całym przyszłym moralnym, materjalnym i ustrojowym rozwoju ludzkości i którego fałszywe, oportunistyczne ujęcie może i musi sprowadzić w nieuchronnej konsekwencji różne katastrofy.

Stając więc tak twardo, nieraz nawet wbrew opinji naszych przyjaciół, w obronie tego prawa, wiemy dobrze, o co walczymy i dlaczego tak ostro walczymy. Musi być

w Polsce choć jedna placówka, choćby narazie nieliczna szkoła pisarzy i działaczy, którąby, nie oglądając się na nic i na nikogo, stanowiła niewzruszony drogowskaz i skupiający ośrodek dla tych wszystkich, którzy już są przekonani lub stopniowo dojdą do przekonania, że zasada prawa własności prywatnej musi być ze wszech względów, także i ogólno-państwowych, w konstytucji i w całem ustawodawstwie i w technice rządzenia i opinji ogółu silnie ufundowana.

A wszelkie przeciwne argumenty pozostawmy radykałom. To ich rola, nie nasza. A że ich nigdy nie zbraknie, to pewne!

Redakcja.

AKTUALJA ZAGADNIEŃ ROLNICZYCH.

Możemy już dzisiaj stwierdzić, iż problem rolniczy został w Polsce dostatecznie doceniony, zarówno przez czynniki kierujące, jak i przez ogół społeczeństwa. Zagadnienie siły organizacyjnej i zwartości gospodarczej 72% ludności naszego państwa musiało stać się punktem wyjścia naszego planu gospodarczego i perspektywy na przyszłość. Uznanie znaczenia rolnictwa dla naszej struktury gospodarczej stanowi jej realną podstawę. Do takiego ujęcia problemu dochodziliśmy drogą błądzeń i wahań i dopiero kryzys gospodarczy w znacznej mierze przyczynił się do realnego i konkretnego zdania sobie sprawy z popełnionych błędów.

Znaczenie rolnictwa zrozumiał rząd, zrozumiały sfery finansowe i gospodarcze; najmniej, niestety, pojmuje swoje zadania i cele szeroki ogół rolników. Zarzut ten potwierdza bliższa obserwacja ustosunkowania się rolnictwa do zagadnień finansowych i gospodarczych w chwili bieżącej. Objektywnemu obserwatorowi rzuca się w oczy bierne stanowisko sfer rolniczych w walce z kryzysem. Wyczekiwanie na pomoc z zewnątrz, brak wiary we własne siły i własne zdolności twórcze są bodaj najistotniejszą cechą, ujawniającą się na każdym kroku przy bliższem zetknięciu z rolnictwem.

Takie ustosunkowanie się nietylko do zagadnień gospodarczych, ale i do zagadnień ogólno-państwowych, nie jest jednak wyłączną winą naszych rolników. Źródła tego stanu należy szukać w niedalekiej przeszłości, kiedy to drobna własność rolna była odskocznią dla spekulatywnych poczynań i eksperymentów politycznych, a większa własność, pojmowana mylnie, jako nieproduktywna i niepotrzebna klasa, wyodrębniona z całokształtu społeczności rolniczej,

traktowana była jako coś wręcz szkodliwego, coś, co należy jak najszybciej zlikwidować.

W takich warunkach zarówno jednym, jak i drugim trudno było wyrobić sobie jasny pogląd na swoją rolę w państwie i na celowość swej egzystencji. W sumie rolnictwo polskie w dobie kształtowania się naszego bytu państwowego zostało pozbawione najprymitywniejszych warunków, zezwalających na skonsolidowanie się jego sił, jako całości. 72% ludności nie wiedziało i nie mogło pojąć, poco istnieje. Był to stan paradoksalny, stan, który wcześniej, czy później musiał wydać ujemne rezultaty.

Rezultaty te właśnie dzisiaj konstatujemy. W momencie, gdy przyszedł okres próby ogniowej dla rolnictwa, okazało się, że tak wielki odłam naszego społeczeństwa jest biernem narzędziem w rękach losu, a jedyną jego bronią jest bezgraniczna zdolność do kurczenia swych potrzeb życiowych.

Kryzys zastał rolnictwo, pojęte już nie jako odrębnie traktowaną, drobną i średnią, względnie większą własność, ale jako całość, jako „rolnictwo". Tem niemniej rolnictwo i dziś nie jest całością. Są to miljony odrębnych istnień i egzystencji, miljony zróżniczkowanych prywatnych interesów, pozornie złączonych w luźnych organizacjach. Organizacje rolników ograniczają się w swej działalności przeważnie do wykorzystywania „konjunktury", wyjednywują dla swych mandatarjuszy niejednokrotnie cieplarniane warunki bytu.

Pojęcie znaczenia rolnictwa dla państwa przeszło dość nagłą i poważną ewolucję. Z okresu eksperymentowania na rolnictwie, bez racjonalnej myśli przewodniej, dostało się ono nagle w atmosferę opieki i pieczołowitości. Zmiana ta odbyła się poza rolnictwem, bez jego świadomego udziału. Warunki nowe przyjęli rolnicy bez dostatecznego uświadomienia sobie przyczyn i podstaw zaszłej zmiany.

Z właściwą sobie biernością rolnictwo uwierzyło, że

jego los i egzystencja nie od niego samego zależy, że wystarczy inercja i wyczekiwanie, a przyszłość musi się jakoś ułożyć. W tym somnambulicznym nastroju rolnictwa leży wielkie niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo to tkwi w niewykorzystaniu sił twórczych i celowej pracy przeważającej większości narodu.

Przejdźmy z kolei do właściwego tematu, do skreślenia faktycznego położenia rolnictwa na tle wyjątkowo trudnych dzisiejszych warunków, oraz jego zadań i roli w chwili bieżącej.

Reasumując wyżej skreślone uwagi, stwierdzamy, iż błędne ujęcie znaczenia rolnictwa w organicznej strukturze państwowej wynikło:

1) z niedoceniania wartości zagadnienia rolniczego, jako całości, jako podstawy kalkulacji gospodarczej,

2) z zapoznania konieczności stworzenia dla rolnictwa takich warunków egzystencji, w których stopniowo skonsolidowałoby się ono, spajało i uzyskiwało pełną świadomość swych zadań i celów.

Rezultatem tych błędów było:

1) nadmierne wyeksploatowanie siły finansowej rolnictwa w dobie dobrej konjunktury, przy zupełnem zlekceważeniu znaczenia konieczności tworzenia rezerw,

2) zbyt silny i sztucznie wywierany wpływ na intensyfikację warsztatów rolnych i inwestowanie drogą udzielania ad hoc stwarzanych, do warunków rolnictwa niedostosowanych kredytów.

Przekredytowanie rolnictwa w znacznej mierze pogłębiło kryzys.

Kryzys przyszedł nagle i niespodziewanie. Przyszedł w momencie, gdy mentalność sfer rolniczych, urobiona okresem inflacji i podtrzymana w pewnej mierze obniżką początkowej wartości złotego, była specjalnie podatna dla haseł inflacji kredytowej, propagowanej z dużym rozmachem i energją. Rentowność warsztatów rolnych, wzrastająca

do roku 1929, przyczyniła się walnie do wzrostu dezorjentacji w dziedzinie kredytowej. Stosowanie kredytów krótkoterminowych, dla rolnictwa nieodpowiednich, sztuczna rozbudowa wysokoprocentowych kredytów długoterminowych, nieopartych o normalny proces kapitalizacyjny, wepchnęły rolnictwo na drogę inwestycji, pozbawionych realnej kalkulacji, wytwarzając nastrój optymizmu, graniczącego z lekkomyślnością.

W dobie wysokiej konjunktury przeważało zdanie, że dla należytego zorganizowania i podniesienia rolnictwa wystarczy dostarczenie mu środków pieniężnych, że wzrost cen produktów rolnych urealni najbardziej dziwaczne, z teoretycznemi zasadami niezgodne koncepcje kredytowe. Rolnictwo z całą biernością i brakiem krytycyzmu poddawało się tym hasłom. Przychodzi kryzys. Od roku 1929 ceny produktów rolnych spadają i równolegle z niemi maleje rentowność warsztatów rolnych. Rezultatem zbytniego optyzizmu i pogwałcenia podstawowych zasad teoretycznych i praktycznych doświadczeń są długi, niewspółmierne ze zdolnością płatniczą rolnictwa, wiszące, jak zmora, nad wszystkimi prawie warsztatami rolnymi. Następuje odwrót. Sfery miarodajne w zrozumieniu sytuacji, w miarę umiejętności i zdolności finansowych, podejmują walkę z kryzysem i wytworzoną sytuacją.

Usiłuje się drogą interwencji, premji i t. p. podnieść rentowność warsztatów rolnych. Pomoc ta, jakkolwiek skuteczna, musi być ograniczona brakiem dostatecznych środków i kurczącym się budżetem państwowym.

W zrozumieniu swych zadań rząd wprowadza ustawodawstwo ochronne. Ma ono na celu ochronę dłużnika-rolnika, zarówno w stosunku do wierzyciela prywatnego, jak i do kredytu zorganizowanego. Na źródłach kapitalizacji publicznej oparty, kredyt długoterminowy dostosowuje się do rentowności ziemi, wprowadza się ulgi w spłatach zaległości. Przechodzi się do uregulowania ustawowego naj-

bardziej bolesnej dziedziny kredytowej — kredytu krótkoterminowego.

W tak zwanem ustawodawstwie ratowniczem na specjalne podkreślenie zasługuje **bezwzględne utrzymanie w niem zasad prawa własności.** Drogą najdalej posuniętych ulg w terminach spłat, drogą obniżenia stopy procentowej kredytów, dąży się wszelkiemi siłami do umożliwienia rolnikom spłaty pełnych sum kapitałowych, bez uciekania się do środków, krzywdzących wierzycieli. W pełnem zrozumieniu trudności położenia — ustawodawca w wielu wypadkach zmuszony jest prawo własności ograniczyć, jednak nigdzie go nie podważa, a przeciwnie, walczy o jego utrzymanie. To stanowisko ustawodawcy należy zrozumieć i docenić.

Dążność do utrzymania zasady prawa własności przejawia się również w dwu ustawach, mających za zadanie uregulowanie stosunków kredytowych w dziedzinie kredytu krótkoterminowego, a będących niejako konsekwentnem wykończeniem całokształtu akcji na płaszczyźnie ustawodawczej.

Jedną z nich jest ustawa z dnia 28 marca 1933 r. o urzędach rozjemczych. Ma ona na celu uporządkowanie stosunków kredytowych w dziedzinie krótkoterminowego kredytu niezorganizowanego. Jej wytyczną jest doprowadzenie do porozumienia między dłużnikiem a wierzycielem prywatnym na płaszczyźnie wzajemnych ustępstw, z zachowaniem jednak pełnych praw wierzyciela do żądania zwrotu całej sumy kapitałowej długu.

Drugą — jest ustawa z dnia 24 marca 1933 r. o ułatwieniach dla instytucji kredytowych, przyznających dłużnikom ulgi w zakresie wierzytelności rolniczych.

Ustawa ta stwarza podstawy do uregulowania dziedziny zobowiązań krótkoterminowych w zakresie kredytu zorganizowanego.

Na podstawie tej ustawy Skarb państwa przeznacza

narazie 75.000.000 zł. dla instytucji kredytowych celem umożliwienia im obniżenia oprocentowania kredytów krótkoterminowych, udzielonych rolnikom, do 6¼% w stosunku rocznym, oraz na pokrycie częściowo ich strat, spowodowanych niewypłacalnością dłużników-rolników. Instytucje kredytowe, chcące wykorzystać pomoc Skarbu państwa, obowiązane są, oprócz obniżenia oprocentowania, rozłożyć spłaty kredytów rolnikom na lat 7, przyczem w ciągu pierwszych dwu lat, na podstawie układu, zawartego z rolnikiem, może mu być przyznana t. zw. karencja, t. j. w ciągu tego okresu rolnik nie spłaca kapitału, a jedynie pokrywa należne odsetki. Równocześnie na mocy tej ustawy został powołany do życia Bank Akceptacyjny. Instytucja ta została zorganizowana na zasadach spółki kcyjnej, której akcjonarjuszami są: Skarb państwa, Bank Polski, Bank Gospodarstwa Krajowego i Państwowy Bank Rolny. Zadaniem jej jest z jednej strony nadzór i pośrednictwo w udzielaniu pomocy Skarbu państwa w granicach wyżej podanych sum, z drugiej strony drogą udzielaniem specjalnych kredytów ma ona umożliwić instytucjom wierzycielskim upłynnienie środków, zaangażowanych w kredytach, których spłaty zostały rolnikom rozłożone na dłuższe okresy czasu.

Usiłowania, tą ustawą zainicjowane, mają na celu uporządkowanie zorganizowanego rolniczego rynku kredytowego.

Przekredytowanie i skutki kryzysu rynek ten całkowicie zdezorganizowały. Upadek zaufania, wywołany zmianą wartości walorów zabezpieczeniowych, ogólna demoralizacja płatnicza, niezależnie od odczuwanego braku gotówki, wykluczyły normalne i zdrowe operacje kredytowe, wprowadzając kompletny chaos i uniemożliwiając jakąkolwiek pozytywną działalność na tym odcinku.

To też przywrócenie normalnych warunków pracy leży w pierwszym rzędzie w interesie rolnictwa. W zrozumieniu tego problemu i we współdziałaniu z wysiłkami rzą-

du przejawić się winien pierwszy moment zorganizowanej akcji rolnictwa, jako całości — świadoma swych zadań i celów inicjatywa, idąca na spotkanie wysiłkom rządu.

Jednak rezultaty dotychczasowe wykorzystania dobrodziejstw tych ustaw przez rolnictwo są bardzo nikłe. Z organizacji urzędów rozjemczych skorzystało zaledwie około 2% rolników. Nacisku ze strony rolnictwa na instytucje kredytowe w kierunku sanowania swych warsztatów i regulowania na ulgowych warunkach zobowiązań—jak dotąd—nie widać. Słychać wiele narzekań i krytyk—inicjatywy i zdecydowanej woli i wysiłku w tym kierunku brak.

A komuż bardziej, jak rolnictwu, zależeć winno na osiągnięciu normalnych warunków egzystencji? Dla kogoż większe ma znaczenie ustalenie się i umocnienie prawa własności, tak często przedtem i z taką szkodą dla rolnictwa gwałconego? Rolnictwo musi wykluczyć ze swych kalkulacji krótkowzroczną spekulację, której najzgubniejszym przejawem jest popularne dzisiaj w sferach rolniczych hasło deprecjacji pieniądza i rewizji długów. Popularność tego hasła w rolnictwie jest bijącym w oczy przejawem nie czego innego, jak właśnie słabości i bierności.

Rolnictwo musi zdać sobie sprawę, że taka droga najmniejszego oporu jest niebezpieczna. Musi pojąć, że zerwanie tam, do którego lekkomyślnie chce się przyczynić, może spowodować wielką powódź, która je samo zaleje. Musi zdać sobie sprawę, że na lodzie nikt gmachów nie buduje, że na to, aby wznieść gmach trwały i wielki, muszą być pod nim wybudowane trwałe i silne fundamenty.

Do budowy tych fundamentów w pierwszym rzędzie powołane jest rolnictwo. Musi skupić swe siły we wspólnym wysiłku przezwyciężenia trudności i przeszkód w mrówczej, konsekwentnej i świadomej celu pracy, musi wytworzyć w sobie zdrowy krytycyzm, odróżniający drogi, pozornie łatwe, ale niebezpieczne, od ścieżyn kamienistych i ciernistych, ale prosto prowadzących do celu.

Marjan Karczewski.

WALKA O PROGRAM UKRAIŃSKI

W ostatnim czasie zaatakowały „Naszą Przyszłość“ różne ukraińskie i polskie wydawnictwa z powodu wysuwanych przez nią pewnych tez programowych, dotyczących bezpośrednio lub pośrednio sprawy ukraińskiej. Przyznać trzeba, że pewne polskie wydawnictwa zrobiły to z daleko większym, bezwzględniejszym, prawdziwie nowoczesnym rozmachem, niż ukraińskie. Powyciągano nawet z pewnych artykułów „Naszej Przyszłości“ różne zwroty i zdania, nie traktujące wcale o sprawie ukraińskiej, które jednak starano się skwapliwie do tej sprawy nagiąć i różne ukrainożercze, imperjalistyczne zamiary temu spokojnemu wydawnictwu podsunąć.

Wiem, że Redakcja „Naszej Przyszłości“ nie lubi tracić czasu i zachodu na polemikę. Twierdzi ona zawsze — i słusznie — że jeden drobny czyn pozytywny, konstruktywny, nieskończenie więcej znaczy od wszelkich krytyk, starć i polemik, które najczęściej są tylko marnowaniem atramentu i energji. Dlatego więc, wyręczając ją w tym wypadku, ja, Stańczyk, jako duch konstruktywnej myśli polskiej od lat czterystu, zabieram głos, aby wyłożyć wszystkim zainteresowanym jasno i wyraźnie kierunek, w jakim „Nasza Przyszłość“ w kwestji ukraińskiej piórem, słowem i czynem zmierza, nie oglądając się na nic, a tylko głębszą rację stanu państwa polskiego i narodu ukraińskiego mając na oku.

Są oczywiście rzeczy i sprawy, leżące na dnie polityki dyplomatycznej lub głębszej racji stanu państwa, czy narodu, które robi się w danej okazji, ale o których zwykle nie mówi się głośno i nie pisze. W tym jednak specjalnym wypadku ten, który na serjo zajmuje się problemem

polsko-ukraińskim, albo jakimś jego odcinkiem, nie powinien w akcji swej wualować swego programu, swych przekonań w tej sprawie także i z punktu widzenia dalszej perspektywy, gdyż wszelkie zagadkowe postępowanie, stawiające przed sobą wszędzie znaki zapytania na przyszłość, zaciemnia tylko problem, zawiesza go w powietrzu i zaostrza przez to sytuację. A w takich warunkach nic nie pomogą najmądrzejsze nawet i najuczeńsze rozprawy. .

W tem właśnie leży mimowoli najsłabsza strona wielu rozpraw, artykułów i projektów, w jakie od lat obfituje polityczna publicystyka polsko-ukraińska, zwłaszcza z polskiej strony. Kładzie ona bowiem bardzo dyplomatycznie nacisk na konieczność t. zw. zgodnego współżycia Polaków z Ukraińcami w granicach państwa polskiego, zaleca daleko idącą tolerancję i liberalizm Polakom, a Ukraińcom lojalizm i pogodzenie się z istniejącym stanem rzeczy, ale z reguły milczy o sprawie najważniejszej, a najbardziej drażliwej, mianowicie, w imię jakiej to idei, jakiego obustronnego interesu ma się rozwijać owo zgodne współżycie i jak długo? Bo przecież realny polityk nie powinien łudzić się, że w dzisiejszych warunkach powszechnego narodowego uświadomienia na całym świecie, a nawet aż nazbyt wszędzie wybujałego nacjonalizmu, będzie możliwem na dłuższą metę stłumić, czy zignorować gorące dążenia do własnej państwowości kilkudziesięcio-miljonowego narodu, że niezmiernie szkodliwą stać się może dla każdego państwa stała egzystencja w jego granicach kilkomiljonowej irrydenty. Takie problemy, na dłuższą metę bardzo niebezpieczne, bo mające charakter dążeń żywiołowych, można i trzeba łagodzić i na pożądane kierować tory tylko przez wysunięcie całkiem wyraźnych celów, choćby osiągnięcie tych celów nie było narazie ani aktualnem, ani realnem. W duchu tych celów, choćby nimi oficjalna polityka wcale zajmować się nie mogła, a tem mniej je popierać, winna jednak nastrajać się prywatna opinja publiczna

i gotować się tak na wszelkie ewentualności, w ewolucji historycznej zawsze możliwe, aby nie dać zaskoczyć się niespodziewanym wypadkom.

Leży to w danym wypadku również w najżywotniejszym interesie polskiej racji stanu, której podstawy spoczywać winny nietylko na chwilowo aktualnych potrzebach, ale również i na głębszej idei państwowo-twórczej. Ta zaś polega właściwie na pewnym ogólnym programie rozwiązywania doniosłych zadań państwowych na dłuższą metę i na kierowaniu w tych właśnie celach myśli i tendencji danego narodu, bez względu narazie na to, czy i w jakim stopniu realizacja tych celów okaże się możliwą.

Pamiętajmy, że jedną z najgłówniejszych przyczyn upadku dawnej Rzeczypospolitej, obok wewnętrznej anarchji i osłabienia, był właśnie zanik wszelkiej państwotwórczej idei, zasklepienie się w wąskiem podwórku bieżących aktualjów, a zneglizonanie rozwiązania wszystkich donioślejszych problemów, jakie historja kolejno przed naszym stawiała narodem. Przegraliśmy kapitalną sprawę bałtycką, nie wyzyskaliśmy należycie wyjątkowego osłabienia Niemiec wojną trzydziestoletnią, przegraliśmy sprawę kozacką i krymską, przegraliśmy kilkakrotnie sprawę rosyjską, przegraliśmy nawet, mimo wszelkich poprzednich, dotkliwych doświadczeń dziejowych — sprawę napoleońską, której naród nasz nie umiał także należycie wykorzystać.

Nie przegrajmyż teraz znowu kapitalnej dla nas sprawy ukraińskiej! Ale chcąc ją kiedyś wygrać, czerpiąc naukę z ciężkiego doświadczenia naszych przodków, trzeba koniecznie wziąć w rękę pierwszą inicjatywę i z wyraźnym — choćby całkiem nieoficjalnym — wystąpić wobec Ukraińców programem. Oczywiście z programem, narazie tylko ogólnym, bo śmiesznem byłoby przesądzanie różnych jego możliwych modyfikacji i szczegółów.

A takie postawienie sprawy, to nie „szkodliwe majaczenie“, jak nam to pewni wyznawcy skrajnego aktualizmu zarzucają. Przeciwnie, to conditio sine que non, bez czego wszelkie, najtrafniejsze nawet traktaty na temat „zgodnego współżycia“ obu narodów pozbawione są wszelkiej wartości pragmatycznej i pozostawiają przyszłość polsko-ukraińską w postaci wiecznie otwartej rany. Ukrainiec każdy, polityk, czy niepolityk, powinien wiedzieć, jak przynajmniej prywatne, poważne sfery polskiego społeczeństwa wyobrażają sobie ewentualną przyszłość ukraińską i w czem byłyby gotowe w danej okazji aspiracjom ukraińskim dopomóc, a w czem przeszkodzić.

Tak stawia sprawę „Nasza Przyszłość“ — oczywiście tylko za siebie i za swych zwolenników — i tem tłumaczą się w ostatnich czasach różne na nią ataki ze strony zwłaszcza tych, którzy nie wyzwolili się widocznie jeszcze z atawistycznego kręcenia się w kółko na platformie aktualnych konjunktur dnia, z niechęcią, czy obawą zdecydowanego spojrzenia w przyszłość. Niechże mi więc wybaczą wszyscy ci, którzy formułowanie wszelkich programów i wspólnych celów polsko-ukraińskich na dalszą przyszłość uważają za niewskazane i nierealne, niech wybaczą również autorzy wszelkich rozpraw naukowych lub publicystycznych na polu ukrainistyki, traktujących nieraz bardzo sumiennie i fachowo i z talentem o przeszłości i teraźniejszości—niech mi wybaczą ten gest rozdarcia zasłony możliwej przyszłości, choćby przyszłość ta, w mojem ujęciu, okazała się później w znacznej części tylko mirażem, choćby miała spełnić się pod wielu względami w inny sposób, niż to przedstawiam.

Ale ja, Stańczyk, nie rozumiem pracy bez jasno wytyczonego programu i celu, choćby w nich rzeczywistość narzucała z biegiem czasu nawet daleko idące modyfikacje. Nie umiem inaczej ani pracować, ani nawet myśleć konkretnie o jakiejkolwiek sprawie i mogę zaświadczyć z długiej

eksperjencji, jak niepewne i mętne stają się mimowoli, stopniowo, już nietylko polityka, ale nawet fachowa nauka, idące naprzód bez wytkniętego programu.

A więc — słuchajcie!

Podpisał rząd polski tego lata pakt w Londynie z dwoma państwami bałtyckiemi, Rumunją, Turcją, Persją, Afganistanem i — Rosją. Pociągnięcie wspaniałe, które za jednym zamachem pióra wyniosło Polskę na bezporównania wyższy piedestał autorytetu w oczach świata, a zwłaszcza zachodniej Europy, niż ten, na który do niedawna ją spychano. Czwarta część obszaru lądu na kuli ziemskiej, zaludniona przez ćwierć miljarda mieszkańców, należy teraz do naszej politycznej „unji wschodniej". Uprzytomnijcie sobie dobrze, Polacy, że podobnie olbrzymiego i doniosłego faktu — o ile tylko odpowiednią trwałość wykaże — nie znały dotąd nasze dzieje!

Niebezpieczeństwo niemieckie bardzo znacznie sparaliżowane, niebezpieczeństwo rosyjskie przez sam fakt akcesu Rosji do przymierza również sparaliżowane, a polski minister Spraw Zagranicznych witany jako niezmiernie cenny i decydujący sojusznik w Paryżu. A Nasza Przyszłość raduje się skromnie, na boku, że jej program przymierza dziewięciu państw środkowowschodniej Europy, prekonizowany od dwóch lat, słowem i piórem i w pewnym zakresie nawet propagandowym czynem, tworzenie owego „pierścienia bezpieczeństwa" dokoła Polski w trójkącie państw, wspólnie zagrożonych, między Bałtykiem, Adrjatykiem i Morzem Czarnem, dochodzi nareszcie przynajmniej częściowo do skutku, skoro do paktu londyńskiego przystąpiły Estonja, Łotwa i Rumunja, a nadto zabiegają między sobą królowie Rumunji, Jugosławji i Bułgarji, aby uzupełnić w jakiejkolwiek formie pakt londyński. Nawet Litwa kowieńska, wobec tego stanu rzeczy i wyraźnego niebezpieczeństwa ze strony hitle-

ryzmu, uderzyła w ostatnim czasie w jakąś przychylną nutę wobec Polski.

Jeszcze więc tylko Węgrzy nie mogą wyzwolić się narazie z ciężkiej psychozy włosko-niemieckiej, a czeska polityka Benesza przechodzi ostry kryzys. Cały bowiem genjusz Benesza opierał się i operował na specyficznym gruncie Ligi Narodów, a skoro Liga ta — w dotychczasowej swej sielankowo-biurokratycznej konstrukcji — poprostu w łeb bierze, więc pan Bensez traci nietylko grunt pod nogami, ale i wszelki wątek swego politycznego „genjuszu“. Bo jeżeli Polska jest w przymierzu z Francją i Rosją, to jakież atuty może wygrywać pan Benesz w oczach Europy? Chyba jakieś niebieskie koszule, z których pierwsi faszyści i hitlerowcy się śmieją! To też pozwalam sobie bardzo skromnie prorokować, że, o ile polityczna unja wschodnia okaże pewną wytrzymałość, to najbliższym, poważniejszym wyczynem dyplomatycznym p. Benesza będzie podróż do Warszawy pod jakimkolwiek pretekstem.

Tryumf więc Polski na całej linji, a gdzieś w skromnym kącie także częściowy tryumf Naszej Przyszłości, która prawi i robi spokojnie swoje i — czeka naturalnych, organicznych rezultatów, jakie rebus sic stantibus oddawna przewidywała i propagowała.

Ale to wszystko tylko jako tło obchodzącej mnie w tej chwili sprawy ukraińskiej. Skoro pakt londyński podpisały Polska i Rosja — więc oczywiście mowy z naszej strony być nie może, abyśmy podpis naszego rządu jakąkolwiek antyrosyjską akcją mieli dezawuować. Zresztą intryga i zdrada obce są psychice polskiej wogóle. Wszak jeżeli w czasie wojny światowej żołnierze polscy, rozdzieleni tragedją losu w trzech, walczących ze sobą armiach zaborczych, strzelali do siebie, nie zdradzając wymuszonej wojskowej przysięgi, to tembardziej nie zdradzą dzisiaj Polacy zawartego dobrowolnie sojuszu.

Ten stan rzeczy jest oczywiście ciosem dla aspiracji Ukraińców. Zdaję sobie doskonale sprawę z ich przygnębienia takim obrotem rzeczy. Żal mi ich szczerze, ale wiedzieć muszą, że dopóki dyplomatyczne nasze przymierze z Rosją istnieje, to mowy być nie może o jakichkolwiek pociągnięciach, nawet z prywatnej polskiej strony, przeciw temu państwu, jako kontrahentowi londyńskiego paktu.

Ale czyż ktokolwiek z licznych kontrahentów tego paktu mógłby twierdzić, że będzie on wiecznym, a zwłaszcza wiecznym w tej formie, w jakiej został zawarty? Z pewnością nie, bo paktów wiecznych w historji nigdzie nie było i nie będzie. Przymierze trwa zwykle tak długo, dopóki leży w realnym interesie dwóch lub więcej stron. Zmiana sytuacji, którą historja nieraz szybko przynosi, może najściślejszy sojusz uczynić bezprzedmiotowym. Nie potrzeba tej oczywistej sprawy aż dowodzić. A na takie ewentualności każdy żywotny naród winien zawczasu się gotować. Tego nikt mu za złe brać nie może, a nawet inne stawianie sprawy uważałby każdy za naiwność i to — z punktu widzenia interesów danego narodu — za karygodną naiwność.

Może więc, bez uchybienia intencji londyńskiego paktu, myśleć społeczeństwo polskie o wszelakich możliwych zmianach przyszłych konjunktur — i nietylko może, ale nawet powinno o tem myśleć i do nich na wszelki wypadek się sposobić. Mogą i muszą myśleć o tem również rozumni Ukraińcy, t. j. ci, którzy zdolni są objektywnie traktować rację stanu swego narodu, a nie rozrzucać i rozpraszać ją chaotycznie i beznadziejnie po wszystkich międzynarodowych konferencjach, zjazdach, spiskach i intrygach na obu półkulach.

Otóż na tem właśnie podłożu konieczności jakiegoś celowego myślenia o jutrze polsko-ukraińskiem, które nadejść może niespodziewanie za lat kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt, czy nie wiem już kiedy, wyłania się program ukraiński —

bez względu na aktualizm chwilowego położenia w Europie. A wyłania się tembardziej, że — jak uczy doświadczenie dziejowe — zbyt wielkie, różnoplemienne kolosy państwowe, zwłaszcza zbudowane sztucznie siłą miecza, nigdy nie były w stanie długo się utrzymać. Mamy aż nadto wymowne w tym zakresie przykłady od najdawniejszych czasów, poprzez imperjum rzymskie, aż do dzisiejszego imperjum brytyjskiego. Wszędzie, bez wyjątku, ta sama powtarza się reguła: moment kulminacyjny ekspansji imperjalnej danego państwowego kolosa jest równocześnie momentem początkowym jego dezagregacji. W obecnym okresie widzimy, jak oba wielkie imperja, brytyjskie i rosyjskie, tracić zaczynają kolejno różne swe obszary i wpływy w rozmaity sposób. Imperjum brytyjskie decentralizuje się zwolna, w kierunku coraz większej niezależności Kanady, Afryki południowej i Australji, oraz indyjskiego ruchu niepodległościowego, czy przynajmniej autonomicznego; wyzwalają się coraz bardziej Egipt i Irlandja. Podobnie straciła Rosja wskutek wojny światowej szereg swych prowincji zachodnich na rzecz nowopowstałych państw niepodległych; jesteśmy obecnie świadkami kruszenia się jej imperjum od wschodu.

I to wszystko dzieje się na podłożu pewnego procesu organicznego, mimo wszelkiej dośrodkowej i konsolidującej kontrakcji ze strony centralnych rządów. A potęguje ten ruch dezagregacyjny, odśrodkowy, wzrost narodowego uświadomienia u poszczególnych ludów i wzrost poczucia odrębności partykularnych interesów poszczególnych części składowych danego imperjum.

Tak więc każdy przewidujący polityk — o ile na to miano istotnie zasługuje — nie może dzisiaj żadną miarą lekceważyć tendencji narodowych poszczególnych ludów, nie może przechodzić lekkomyślnie i powierzchownie nad tą sprawą w imię bieżącego aktualizmu. Nie może więc trzymać w taktownem zawieszeniu problemu ukraiń-

skiego, ale powinien go sobie w jakiś sposób wyraźnie skonstruować i lapidarnie wypowiedizeć. Powinien to uczynić, licząc się realnie z możliwością ewentualnych przekształceń w łonie państwowego rosyjskiego kolosa i z możliwością nadejścia takich nawet sytuacji, w których odpowiednia ingerencja Polski może stać się dla niej wprost konieczn ością dziejową, choćby Polska najbardziej ugodowo i pacyfistycznie była nastrojoną. Przecież państwo, to nie sentymentalna sielanka, ale realny interes, a pociągnięcie polityczne, powodujące zmiany między-państwowe, to również tylko wykorzystywanie okazji, dyktowane pewnym interesem lub pewną koniecznością państwową. Dawna Polska upadła, bo interesów swych nie rozumiała, bo zatraciła swą państwowo-twórczą ideę. Miały ją za to w tym samym okresie niestety w największym stopniu rozwiniętą i naprężoną Rosja i Prusy. Stąd wynik dla nas musiał być oczywisty, nieuchronny.

Dlatego więc nieuchronną koniecznością dla państwa i społeczeństwa polskiego jest dzisiaj staranne kształcenie i pielęgnowanie owych zasadniczych wytycznych państwowo-twórczych idei w różnych kierunkach, które narzuca Polsce jej położenie geograficzne. A jedną z tych najważniejszych linji wytycznych jest dla Polski sposobienie się na powstanie samodzielnego państwa wielkoukraińskiego, ale sposobienie się takie, aby wskrzeszona ewentualnie Wielka Ukraina była od początku silną unją realną z Polską związana.

Zgodzi się bowiem na to — jeżeli nie głośno, to przynajmniej w głębi przekonania — każdy rozumny Ukrainiec, że w danem, istotnem położeniu ziem ukraińskich i sprawy ukraińskiej:

1) Polska jest jedynem państwem na świecie, w którego szczerym interesie może leżeć powstanie państwa ukraińskiego,

2) wskrzeszenie to nie może nastąpić bez życzliwej ingerencji Polski w danej konjunkturze dziejowej,

3) oba państwa, polskie i ukraińskie, muszą być odrazu silną realną unją związane, gdyż w razie całkowitej niezależności od siebie i wynikłej stąd rozbieżności sąsiedzkiej polityki, skrwawiłyby się niechybnie w zaciętych bojach, czy conajmniej osłabiały wciąż w zasadniczych niesnaskach — na rzecz oczywiście kogoś trzeciego.

Oto trzy aksjomaty — matematyczne pewniki — polskiej i ukraińskiej racji stanu, których jasne sformułowanie tłumaczy dopiero celowość zarówno zgodnego współżycia obu narodów, jak i celowość i konieczność zgodnej ich współpracy na wszelkich polach, od teoretycznej nauki, aż do praktycznej polityki i gospodarki. Bez tego żaden Polak i żaden Ukrainiec, mimo wszelkich pięknych frazesów, nie wiedziałby, dlaczego mają zgodnie ze sobą współżyć i współpracować?!

Pamiętać winni też Ukraińcy z tej i z tamtej strony kordonu, że nikt dla nich zadarmo kasztanów z ognia wyciągać nie będzie. Polska zażąda od nich w danym razie ścisłej unji, na podstawie ustalenia wspólnoty pewnych spraw, w układach, przeprowadzonych na zasadzie: równi z równymi. W rezultacie powstanie potęga i kupiec polski będzie miał taksamo łatwy dostęp do Morza Czarnego, jak kupiec ukraiński do Bałtyku, a wymarzona linja handlowa Gdynia — Odessa stanie się faktem z olbrzymią korzyścią dla Unji.

Nie wynika z tego jednak wcale, żeby nowoczesna Polska chciała powtarzać błędy przeszłości i gnębiąc niepodległościowe tendencje ukraińskie, brać na siebie nadmierny i arcykłopotliwy ciężar kierowania wewnętrznymi rządami wskrzeszonej Ukrainy. Nic podobnego — niechże to Ukraińcy załatwiają sami między sobą i urządzą się, jak im się żywnie spodoba, byle tylko zrozumieli koniecz-

ność, we wspólnym interesie, odpowiedniej łączności obu państw i narodów.

Nie inną jest też — nadmieniam tu nawiasem — głębsza racja stanu Litwinów i ten sam program wysuwa otwarcie Nasza Przyszłość w sprawie polsko-litewskiej.

Marzenia — powie jakiś aktualista. Być może, ale ileż to pozornie najrealniejszych spraw, leżących namacalnie na porządku dziennym, fikcją się okazuje, a ileż rzekomych marzeń realizuje się nieraz prędzej, niż ktoś mógłby przypuścić! Wszak, mimo wszelkich dzisiejszych ex post zaprzeczeń, dwadzieścia lat temu wskrzeszenie Polski było tylko za pobożną fikcję uważane, która kiedyś może się spełnić, ale której żaden poważny realista, czy aktualista, nie traktował przecież na serjo! A jednak...

Dlatego muszą naród polski i ukraiński na wszelką ewentualność zawczasu mądrze się sposobić i w imię tego właśnie celu współpracować. Muszą Polacy we wszystkich dzielnicach państwa zrozumieć całą wagę sprawy ukraińskiej w duchu pozytywnego programu, a Ukraińcy odrzucić wszelkie rachuby, czy nadzieje na pomoc jakiegokolwiek państwa zachodniego, bo żadne im tej pomocy w decydującym momencie szczerze, na serjo, nie udzieli. Pozornie może tak — dla dokuczenia Polsce, ale w rzeczywistości chyba tylko dla stworzenia sobie z ziem Ukrainy kolonji do eksploatacji, gdzie Ukrainiec mógłby pracować nad gromadzeniem bogactw dla... zachodniego plantatora i kapitalisty!

Ale ten ruch sposobienia się do należytego wyzyskania ewentualnych, pomyślnych konjunktur dziejowych ze strony polskiej i ukraińskiej, o który mi chodzi, nie może oczywiście wyjść z góry, od czynników oficjalnych, odpowiedzialnych za aktualną politykę państwa. Może wyjść tylko z prywatnej elity obu narodów, działającej równolegle, w odpowiedniem porozumieniu. A na czele ruchu przygotowawczego stanąć musi — jak w każdem poważnem

zamierzeniu na dalszą metę — nauka, idąca bezstronnie, z autorytetem, w imię prawdy dziejowej. Prawda — ale ta istotna prawda — głoszona sine ira et studio, nigdy w ostatecznym rezultacie nie zaszkodzi, ale tylko pomoże, niszcząc szkodliwe, ad usum polityki krótkowzrocznego nacjonalizmu skonstruowane legendy. Przekona się czytelnik polski i ukraiński z tej prawdy naukowej, że utarta dotąd w szkole i powieści historja polsko-ukraińska, jątrząca oba narody przeciw sobie, całkiem inaczej w rzeczywistej rzeczywistości się przedstawia. Różne przez legendę wyolbrzymione ideały lub czarne charaktery w historycznych postaciach spadną do właściwej swej, bardzo ludzkiej i powszedniej roli, a ich właściwe dążenia w całkiem innem, niż dotąd, wystąpią świetle. Najbliższa nam niby historja rzeczywistych stosunków i walk polsko-ukraińskich będzie dla nas — dla obustronnego ogółu—największą rewelacją.

A nie brak w całym kompleksie tych spraw i zagadnień także i wymownych dokumentów, celowo dotąd dla wymogów skrajnego nacjonalizmu ukrywanych. Ich publikacja jest niezbędną!

Piemontem zaś w tem przygotowaniu ewentualnej przyszłości polsko-ukraińskiej na terenie prywatnej opinji publicznej może i winna być z natury rzeczy Małopolska Wschodnia, czyli — mówiąc poprawnie, w imię rzeczywistości — Polska Ruś Czerwona. Bo tem, a nie czem innem, jest ta, specjalna w swym rodzaju kraina! A ona właśnie stanowi niby „najtrudniejszy“ i „najdrażliwszy“ temat w stosunkach polsko-ukraińskich. Co ma z nią być w razie powstania samodzielnej Ukrainy? Nacjonalizm polski sroży się na samą myśl podniesienia w jakikolwiek sposób tego punktu problemu, a nacjonalizm ukraiński przyłącza zgóry „Haliczyznę“ do koncepcji wielko-ukraińskiej, jako rzecz, która się niby sama przez się rozumie. Przytacza się przykład Śląska, ongiś rdzennej polskiej prowincji, która jednak od sześciu wieków w większości swej polską być

przestała, a że sześciowiekowej historji cofnąć sztucznie niepodobna, więc... i t. d.

Postawienie sprawy całkiem fałszywe, a zato sprawa Rusi Czerwonej całkiem prosta na tle rzeczywistej rzeczywistości, a nie urojonej!

Istotnie, prawdą jest niezbitą, że zaborczym krzykiem bojowego nacjonalizmu wielowiekowa historja odrobić się nie da. Ale jakaż jest ta wielowiekowa historja Śląska w porównaniu z rzeczywistością Rusi Czerwonej?

Otóż faktem jest, że nieopatrzność polskiej polityki wydała śląską dzielnicę na łup tak silnego i kompletnego zniemczenia, że dzisiaj — oprócz małego południowego skrawka — Śląsk, ze stolicą Wrocławiem, jest krajem rdzennie niemieckim i że żaden, trzeźwo myślący Polak nie może dzisiaj rościć do tej ziemi, poza częścią opolskiego okręgu, żadnych pretensji rewindykacyjnych.

Inaczej z Rusią Czerwoną. Ta stała się od niepamiętnych czasów rdzenną częścią składową Polski właściwej i to nie siłą miecza, jak to ex post nacjonalizm ukraiński sili się udowadniać, ale wskutek pewnej, znanej dobrze historykom ewolucji dziejowej. Jej dzieje odszczepiły się od dziejów reszty ziem ruskich jeszcze przed jakąkolwiek ingerencją polską w jej losy. Zajął ją Kazimierz Wielki jako niebezpieczną wówczas dla Polski ziemię bezpańską — res nullius — na której grasowali Tatarzy, Wołosi i Litwini. Chcąc zażegnać to niebezpieczeństwo, musiał wprzód pokonać Tatarów w bitwie pod Lublinem. A potem zaczął murować drewniany lwowski gródek i założył — cerkiew św. Jura. A potem, po usunięciu gubernatorstwa węgierskiego przez Jadwigę, błagali ją przedstawiciele społeczeństwa świeckiego i kleru Rusi Czerwonej, aby dłużej tam pozostała dla — dalszej, koniecznej stabilizacji ładu i porządku!

Od tych czasów, które nie znały jeszcze nacjonalizmu w dzisiejszem tego słowa znaczeniu, rozpoczęła się polska

kolonizacja handlowa, kulturalna, wreszcie rolna Rusi Czerwonej i to wcale nie na podstawie jakiejś, z premedytacją stosowanej polityki zaborczej, ale drogą całkiem naturalną, sąsiedzkiej penetracji wzajemnej, która osady polskie rozszerzała coraz bardziej na wschód, a ruskie częściowo na zachód. Z biegiem czasu nastąpiła stopniowa — w pewnej mierze — denacjonalizacja pewnych sfer ruskich na polskie, ale i na odwrót. Wyrabiało się zaś nadewszystko poczucie wspólnoty w obronie przeciwko „barbarzyńskiemu" wschodowi, bez względu na to, kto bywał kolejno przedstawicielem tego wschodu — Tatarzy, Turcy, czy Kozacy. Pułki polsko-ruskie, a częściowo nawet wyłącznie ruskie, z Rusi Czerwonej, jedne z najdzielniejszych w armjach państwa polskiego, krwawiły się chlubnie w obronie „Chrześcijaństwa przed wschodnią nawałą".

W ostatecznym więc rezultacie historycznym jest dzisiejsza Polska Ruś Czerwona krajem ani czysto polskim, ani czysto ukraińskim, ale wybitnie dwunarodowościowym, dwujęzycznym, związanym coprawda daleko silniej wszelakimi węzłami z rdzenną Polską, niż z właściwą Ukrainą, której przecież pod Przemyślem, Lwowem, a nawet Tarnopolem i Stanisławowem nigdy nie było, a więc tworem całkiem specjalnym. Jego problem jest na płaszczyźnie aspiracji nacjonalizmu ukraińskiego, czy polskiego absolutnie nie do rozwiązania. Splot stosunków polsko-ukraińskich jest tam tak skomplikowany i tak wzajemnie zadzierzgnięty, że każde państwo, polskie czy ukraińskie, które chciałoby siłą na swą stronę go rozwiązać, napotka na potężną polską lub ukraińską irrydentę, która mu zawsze będzie trującym cierniem na drodze. Tę prawdę muszą uprzytomnić sobie dobrze obie strony.

Stąd też najprostszem wyjściem z tej sytuacji jest przyznanie faktu, że Ruś Czerwona pozostać musi bezpośrednio w granicach państwa polskiego, poza obrębem ewentualnej samodzielnej Ukrainy, w której, prawdę mó-

wiąc, odrazu źle by się poczuła i grawitować zaczęłaby z powrotem do Polski. Sic fata tulere. Natomiast musi być t w o r e m s p e c j a l n y m, odpowiednio do swego mieszanego charakteru i stanowić pomost między obu państwami. Pamiętać winni Ukraińcy, że Lwów bardzo słabo tylko może przemawiać do prawdziwego patrjotyzmu ukraińskiego (bo czemże?), natomiast przemawia równie silnie do patrjotyzmu polskiego, jak Kraków, Poznań, czy Warszawa. Niemożna przejść nad tą rzeczywistością dziejową i aktualną do porządku dziennego. Niemożna zastąpić tego jakiemś powierzchownem „świętojurskiem" hasłem i hałaśliwymi pochodami na modłę nacjonalizmu XX-go wieku. Ale i polska, przeszło dwumiljonowa ludność Rusi Czerwonej pamiętać musi, że to tam jednak niecałkiem Polska, ale po sprawiedliwości Ruś Czerwona, która dla wspólnej, polskiej i ukraińskiej sprawy, dla przyszłej — możliwej i pożądanej — unji politycznej dwóch państw winna pracować.

Innego rozumnego, dla obu stron korzystnego rozwiązania problemu na długie czasy niema, chyba, że nacjonalizm wybierze zażartą walkę, która napewno — nigdy się nie skończy!

Temu więc bezkrytycznemu, ślepemu nacjonalizmowi trzeba stanowczo z obu stron wydać wojnę i usunąć go z Rusi Czerwonej w imię dobrze zrozumianej racji stanu polskiego i ukraińskiego narodu. A w tej sprawie wielką, decydującą zasługę oddać może obu stronom światopogląd konserwatywny, przyczem zaznaczam odrazu, że pod wyrażeniem tem rozumiem nie jednostronną, egoistyczną obronę większego stanu posiadania i różnych dawnych urządzeń, ale obronę i propagandę pewnych zasad, dotyczących religji oraz pewnego społecznego i państwowego ładu i porządku, na którym korzystny, konstruktywny rozwój cywilizacyjny się opiera. Konserwatyzm, w ten sposób pojęty, wyklucza przedewszystkiem ideę zasadniczej nienawiści, czego nie robi żaden inny światopogląd, gdyż wszyst-

kie inne powstały i opierają się mniej lub więcej wyraźnie na idei jakiejś walki społecznej, a więc z wolą, czy mimowoli, dzielą ludzi przeciw sobie, zamiast ich kojarzyć.

Tylko integralny światopogląd konserwatywny (mówię wyraźnie: światopogląd, a nie partja, mająca jakieś doraźne polityczne cele na oku) może wznieść się na taki ponadpartyjny poziom i stać go na taką bezinteresowność, że jest w stanie ideę solidaryzmu społecznego na serjo, bez ubocznych, egoistycznych zamiarów propagować i wśród wszelakich konjunktur podtrzymać. Może to zrobić dlatego, że w działaniu swem, w ekspansji swych wpływów na opinję publiczną, nie potrzebuje — jako emanacja intelektu pewnej elity — zabiegać koniecznie o mandaty parlamentarne lub o stanowiska w rządzie, bez czego inne światopoglądy, reprezentowane w partjach masowych, nie mogłyby egzystować. Konserwatyzm zaś stać na to, że doskonale i bez reprezentacji w ciałach oficjalnych może istnieć i dlatego niewiele albo i wcale nie jest zależny od zmian konjunktur politycznych, a stąd może działać bezinteresownie, szczerze i z całą konsekwencją swej idei. Powstanie więc odpowiednio silnego i szczerego ruchu konserwatywnego w społeczeństwie ukraińskiem, wolnego od doraźnych ambicji politycznych i jego porozumienie z analogicznym ruchem konserwatywnym polskim w kierunku równoległej, uzgodnionej współpracy poza wszelką areną sejmową i oficjalną, a przedewszystkiem poza wszelką areną wyborczą — jest, praktycznie biorąc, najrealniejszym postulatem i warunkiem wdrożenia problemu polsko-ukraińskiego na solidne, rozumne i naprawdę korzystne dla obu narodów tory. Nie nastąpi to nigdy ani na jakiejś fikcyjnej, sztucznej, a więc i nieszczerej platformie apolitycznej, bezprogramowej, nie opartej o żaden zdecydowany światopogląd, ani na jakiejkolwiek platformie demokratycznej, bo każdy światopogląd demokratyczny, to w gruncie rzeczy mniej lub więcej destruktywna walka z kimś i o coś. Stąd przecież i na-

cjonalizm oparł się o stronictwa w gruncie rzeczy demokratyczne, chociaż niektóre z nich starają się chwilowo oblekać w konserwatywne szaty dla różnych nieszczerych celów, naprzykład dla pozyskania sobie pewnych sfer gospodarczych, aby dobrać się do kieszeni naiwnych.

Na tem powinienem właściwie skończyć. Powiedziałem wszystko, co można wam powiedzieć, Polacy i Ukraińcy, w ogólnym zakresie programu. Reszta, to już szczegóły wykonawcz.e

Ale jest jeszcze jedna sprawa, której przemilczeć nie chcę i nie mogę. O ile wiem, nikt jej dotąd nie śmiał poruszyć głośno, więc właśnie dlatego ja, Stańczyk, to czynię.

Chodzi o istotny, dzisiejszy, aktualny kierunek nacjonalizmu ukraińskiego. Nacjonalizm ten, istniejący w granicach państwa polskiego, a mający swe ognisko oczywiście na Rusi Czerwonej, prawi wprawdzie na wiecach, w gazetach i broszurach o przyszłej Wielkiej Ukrainie, ale — niezbyt na serjo sprawę tę traktuje, jako dla aktualistów politycznych zbyt odległą, wątpliwą, nierealną. Wobec stanu rzeczy w Rosji i wobec aktualnego położenia ukraińskiego narodu wogóle, operują wielkoukraińską ideą może raczej jako podniecającem hasłem dla poruszania mas i — dokuczania Polakom. Zauważyłem zaś na poważniejszych zebraniach polsko-ukraińskich, że to raczej Polacy śmielej z tą koncepcją występują, niż Ukraińcy. Natomiast wyruszył nacjonalizm ukraiński na podbój — Polski!

Tak jest! Rezygnując narazie z marzeń pozakordonowych, ruszył na podbój Polski dwoma szlakami, na zachód i na północ, posługując się w swej ekspansji wszelkimi, leżącymi na tych szlakach rejonami, czy nawet tylko rozprószonemi osiedlami, zamieszkałemi, choćby częściowo, przez ludność ruską. Dąży nacjonalizm ukraiński na zachód, poprzez Łemkowszczyznę, aż pod mury Nowego Sącza, a więc w rdzennie krakowskie ziemie, przekraczając Dunajec. Dąży na północ w kierunku Lublina i przez

Wołyń i Polesie, aż niemal pod mury Wilna i może wyżej jeszcze. Bo tam wszędzie mieszka, w większych i mniejszych skupieniach, ludność ruska, tam sięgają, zwłaszcza na północ, jakieś prastare historyczne reminiscencje ruskiego władania. To wszystko więc stara się nacjonalizm ukraiński na swoją modłę przerobić.

Za pozwoleniem! Przy całej objektywnej życzliwości dla sprawy i doli 30-miljonowego narodu ukraińskiego, przy całym powyższym programie samodzielnego ukraińskiego państwa, jaki śmielej od wielu Polaków i wielu Ukraińców stawiam, nie mogę żadną miarą zgodzić się na taką ekspansję ukrainizmu w granicach państwa polskiego, jaką nacjonalizm ukraiński z Rusi Czerwonej propaguje. Mówię stanowczo: stop! Nie przebierajcie miary, zostawcie w spokoju Łemków i Białorusinów! Tam żadnej waszej ingerencji, ani waszych wpływów nie chcę i stanowczo im się przeciwstawię. A w takich kwestjach, o tło historyczne opartych, konserwatyzm polski — właśnie przez znaną swą liberalną metodę traktowania spraw narodowościowych — może poważną stworzyć zaporę, gdy zechce czemuś przeszkodzić.

I nikt mi tego za złe wziąć nie może. Bo cóżby się stało z Polską, gdyby tolerować chciała wszelkie wydęte roszczenia, czy urojenia do jej ziem ze strony różnych państw, czy ludów? Nacjonalizm niemiecki pragnie całego zachodu Polski, jej prawdziwej kolebki, aż w głąb Kongresówki. Nacjonalizm litewski i ukraiński sięga od wschodu po Łomżę, Ostrołękę i w okolice Lublina, a od południa po Wisłę i Dunajec. Może jeszcze Czesi zgłoszą się o Kraków, w którym przez kilka lat kiedyś panowali, aby podać rękę Ukraińcom i wytworzyć ów słynny, bezpośredni „pomost słowiański“ między Pragą a Moskwą, o który im od dziesiątków lat tak chodzi! Cóż więc ostatecznie zostanie bezspornie polskiego? Gdzież ma wkońcu znaleźć miejsce niekwestjonowane dwudziestokilko - miljonowy naród pol-

ski? W Warszawie z okolicą? Może i tu nie, skoro Warszawa była w czasach rozbiorów pod pruskiem panowaniem, a hitlerowcy twierdzą, że została założona, pod nazwą Wareshof, przez germańskich Waregów...!

Res venit ad absurdum. I dlatego na ekspansję ukrainizmu poza granice Małopolski Wschodniej żaden Polak zgodzić się nie może, a konserwatyzm polski mniej, niż ktokolwiek inny. Lubię jasno rzeczy stawiać, a więc i tę stawiam całkiem wyraźnie!

Stańczyk.

GŁOSY CZYTELNIKÓW.

W SPRAWIE UNIFIKACJI POLSKI.

Otrzymaliśmy następujący list od jednego z naszych stałych czytelników, który zamieszczamy bez komentarzy i — stosownie do życzenia autora — konspirując jego nazwisko pod obranym przez niego pseudonimem.

Szanowna Redakcjo!

Nie wiem, czy Redakcja „Naszej Przyszłości" będzie uważała za wskazane zamieszczenie na łamach swego pisma niniejszych uwag, odnoszących się do pewnej, wielce drażliwej, ale zarazem i wielce piekącej sprawy. Piekącej dla tego, że wobec pewnego, niefortunnego stanu umysłów w Polsce, pomyślny rozwój wielu zamierzeń, prac i wysiłków, niewątpliwie korzystnych dla kraju, bywa wciąż dotkliwie hamowany, a nieraz nawet całkiem paraliżowany.

Mam na myśli ów nieszczęsny partykularyzm i więcej, bo wprost separatyzm dzielnicowy, który kordony zaborcze w dalszym ciągu ze szkodliwą zarozumiałością podtrzymuje. A nawet i każdą z dzielnic zaborczych segreguje jeszcze na poszczególne, zamknięte w sobie okręgi. Wszystkie te działy i poddziały, mimo tylu łączących je węzłów, państwowych, narodowych, historycznych, gospodarczych i kulturalnych, mimo tylu potężnych wspólnych uczuć, dążeń, niebezpieczeństw i materjalnych bolączek, stoją jednak dotąd — po upływie lat piętnastu — ciągle jeszcze jakgdyby wrogo i nieufnie przeciw sobie, pielęgnując z fałszywej ambicji jakiś, w zaborczych czasach wyhodowany separatyzm mentalności i charakteru, wyolbrzymiany w każdej dzielnicy, w każdem niemal jej województwie, do rozmia-

rów jakiejś dziwacznej racji stanu, a raczej racji wąskiego podwórka.

Gra w tem wszystkiem niemałą rolę oczywiście zarozumiałość, która nakazuje lekceważyć rodaków z innych dzielnic, a siebie samych zabawnie wywyższać. W każdym razie Polak, podróżujący po różnych zakątkach kraju, a pragnący jednolitej, wspólnej ojczyzny, odnosi wrażenie — które w szczegółach nieraz trudno da się uzasadnić i zdefinjować — jakgdyby przekraczał ciągle jakieś kordony graniczne, zwłaszcza kordony mentalności, pojęć, kultury, metody pracy i zawistnego lekceważenia tego wszystkiego, co się poza danym kordonem partykularnym znajduje. Odnosi się raz po raz wrażenie, jakgdyby w kilku czy nawet kilkunastu punktach kraju znajdowały się jakieś specjalne ośrodki, monopolizujące dla siebie całą polską mądrość, praktyczność postępowania, najlepszą politykę i gospodarkę i najwyższą kulturę, wobec której cała reszta kraju pogrążona jest niby w dzikiem barbarzyństwie.

Rozumiem pewne różnice prowincjonalne, uwydatniające się w pewnych zwrotach mowy, zwyczajach, trunkach i potrawach. Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego w dzisiejszem państwie polskiem, tak skurczonem w porównaniu do swego poprzedniego, przeszło dwukrotnego obszaru i zaludnionem prawie w jednej trzeciej przez inne narodowości, Polacy pielęgnują wciąż jeszcze z tak zabawną, a wielce szkodliwą, dezagregującą ich pieczołowitością jakieś urojone różnice partykularne między Lwowem, Krakowem, Warszawą, Wilnem i Poznaniem, wmawiając te różnice w siebie i w drugich.

Tendencja to niezmiernie szkodliwa i niebezpieczna, bo utrudnia wielce każdą pracę i akcję, o szerszym, ogólnokrajowym zakresie i *podtrzymuje mimowoli w umysłach Polaków i Europy pojęcie naszej ojczyzny, jako konglomeratu*

b y ł y c h z a b o r ó w. Stąd mimowoli, podświadomie, karmione są też aspiracje różnych naszych sąsiadów do różnych części naszego państwa. Ślepy, zarozumiały separatyzm dzielnicowy nie daje światu zapomnieć o „Polsce w rozbiorach“. I rzecz dziwna, dzieje się to także na podłożu wybujałego nacjonalizmu, choć spodziewaćby się należało, że nacjonalizm działać będzie w każdym razie konsolidująco na naród polski we wszystkich b. dzielnicach kraju. Tymczasem właśnie tak nie jest! Bo już prędzej socjalizm działa skupiająco, gdy tymczasem nacjonalizm rozsadza, budując wszędzie partykularne, najeżone drutem kolczastym okopy.

Miałem niedawno smutną okazję przygnębiającej, bo szczerej w swym rodzaju rozmowy z dobrze mi znajomym ziomkiem z innej „dzielnicy“ kraju, nota bene wielkim „patrjotą“. Rozmowa toczyła się już w roku 1933, a więc w 15-letnią niemal rocznicę wypędzenia Niemców z Warszawy i Poznania, a w 18-letnią rocznicę wypędzenia Moskali mniej więcej poza granice dzisiejszego obszaru Polski. Otóż mój ziomek, nawet — wyznać mogę — osobisty przyjaciel z sąsiedniej „dzielnicy“, wpadł na mnie z impetem z powodu różnych prądów i urządzeń, jakie napływają do jego dzielnicy z innych dzielnic kraju, rzekomo „zatruwając atmosferę dawnych, dobrych jej warunków bytu i rozwoju“. Wkońcu krzyknął w zapale:

— Czego wy tu od nas chcecie? Dlaczego nam ciągle narzucacie jakieś nowe pomysły? Tak dobrze było u nas d a w n i e j, taka jedność i zgoda!

D a w n i e j ? — pomyślałem, kiedyż to dawniej? Oczywiście za czasów, gdy obcy żandarm przechadzał się po ulicach! Proszę zważyć, do jakich to absurdów mentalnych doprowadza niezłych zresztą ludzi, niezłych zresztą patrjotów, zaciekły, bezmyślny separatyzm dzielnicowy! Nic dziwnego, że wobec takich objawów podświadomej

sympatji z dawnym, „dobrym“ porządkiem zaborczym, Niemiec lub Moskal może odnosić wrażenie, że dane dzielnice Polski pozostają jeszcze w zasięgu jego duchowego i kulturalnego władania!

Ilekroć chodzi o porozumienie między rodakami z różnych dzielnic, to, choćby nawet jednomyślność panowała w zasadzie, niezmiernie trudno skoordynować ich współpracę w jakimś kierunku, bo zaraz wyjeżdżają na stół zastrzeżenia co do „różnicy mentalności dzielnicowych“. Jest ona faktem i to faktem, niezmiernie przykrym, hamującym i poprostu wstrętnym — ale zarazem czemś nieuchwytnem, mglistem, legendarnem. Bo na czemże właściwie ma ona polegać? Tego mi jeszcze nikt dokładnie nie wytłumaczył i skonstatowałem nieraz, że mimo wysiłków, nie jest w stanie wytłumaczyć.

Przybiera ten separatyzm nieraz zabawne, wprost dziecinne formy. Ot naprzykład poda ktoś jakiś projekt użyteczny w gazecie. Natychmiast odzywają się tu i tam gazety w innych dzielnicach, że to na ich poczytnych łamach podobny projekt już dawniej, wtedy a wtedy, się ukazał. Robią nawet więcej, bo otrzymawszy od autora z innej dzielnicy jakiś dobry artykuł, mogący korzystne zrobić wrażenie, nie dają go do druku, ale starają się szybko o artykuł swego ziomka dzielnicowego w tym samym przedmiocie i zamieszczają go tryumfalnie na czele najbliższego numeru, uprzedzając w ten sposób inicjatywę innej dzielnicy.

Śmieszne to i jakżeż małoduszne, zaściankowe! Ale nieraz bywa szkodliwe. Poszczególne dzielnice kraju usiłują z premedytacją, w ślepem zarozumialstwie, wprost bojkotować użyteczne i konieczne starania dlatego tylko, że inicjatywa tych starań nie z ich wyszła podwórka, nie ich różne, wybitne osobistości dzielnicowe mogą się nią ekskluzywnie pochlubić. Nie rozumieją ci wszyscy przykrawa-

cze Polski, że największa zasługa leży nieraz nie w wysunięciu inicjatywy, ale właśnie w energicznem, szczerem jej poparciu!

Jeżeli jednak po-części wyrozumieć można te partykularyzmy i separatyzmy prowincjonalne na płaszczyźnie szerszej, masowej, to już bezwzględnie niezrozumiałe i z patrjotycznego punktu widzenia karygodne są one na płaszczyźnie kulturalnej elity. W sferze tej elity stanowczo, jak najrychlej zniknąć powinny. Bo elitę tę łączy przecież jednakowa, wspólna kultura i wychowanie, a więc wspólna mentalność i przedewszystkiem wspólny interes. Nie rozumiem, czem istotnie różnić się mogą przeciętnie przedstawiciele kulturalnej elity — o ile są nimi naprawdę — poszczególnych województw? Mogą oczywiście zachodzić różnice indywidualne, jak zwykle między ludźmi, ale nie dzielnicowe! Może być odmiennego zdania dwóch warszawiaków, czy wielkopolan między sobą, ale niemasz i nie powinno być „różnic mentalności" między przeciętnym typem elity intelektualnej i kulturalnej w poszczególnych okolicach kraju, w łonie tego samego narodu. Mogę uznać pewną różnicę między kulturalnym Bretończykiem a Prowansalczykiem, bo to w gruncie rzeczy odmienne plemiona, choć wspólnie Francuzami się zowią i pod wspólnym, trójkolorowym żyją sztandarem. Wiemy, że skupiła ich i skupia w dalszym ciągu wysoka kultura jednego przedewszystkiem ośrodka: Paryża. Ale w Polsce? Gdzież jest taki jedyny, najwyżej kulturalny ośrodek, któryby historycznie, językowo i kulturalnie miał nad innymi ośrodkami polskości tę wyższość, żeby za jego pośrednictwem poszczególne ziemie polskie skupiały się i „cywilizowały"? Takiego ośrodka niema! Wyższa polska kultura jest równomiernie rozprzestrzeniona na wszystkie dzielnice państwa, jest własnością i zasługą całego kraju. I dlatego zarozumialcze objawy wyższości cywilizacyjnej jednej polskiej dzielnicy nad drugą są oczywistym i szkodliwym absurdem, któremu

przynajmniej na platformie współpracy elity kulturalnej trzeba raz nareszcie kres położyć.

A w tym celu trzeba tę szkodliwą chorobę ośmieszyć. To najlepszy sposób na takie uparte, przewlekłe niedomagania psychologiczne w społeczeństwie.

Proszę przyjąć, Szanowna Redakcjo, wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

„Wszechpolak“.

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 649-04.